Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 11 czerwca 1939 r. Nr. 24



Poza wszystkimi wielkimi ludźmi, w każdym okresie, na każdym stopniu ich życiowego rozwoju, poza każdym powodzeniem, widoczna czy niewidoczna — stoi zawsze gdzieś kobieta, która budzi.

Prentice Mulford.

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

— Szczerze państwu tego życzę — skłonił się na zakończenie rozmowy kontroler i odszedł, zostawiając dwóch żołnierzy przy drzwiach przedziału.

— Więc żeśmy jednak wpadli, mężu? — odezwała się zadziwiająco spokojnie Daniela. — Teraz zaprowadzą nas do komendy miasta i tam się wszystko wyda.

— Nic nie wiadomo. Musimy zachować się nadal w tej samej skórze, robić awantury, powoływać się na niemieckiego konsula w Peipingu i żądać, by go o naszym zatrzymaniu zawiadomiono. Może nam to co pomoże.

— Chyba tyle, co umarłym chińskim pieniądze i telefony.

— Ha, to cóż — będziemy w takim razie leżeć.

— Podejrzewam, że to sprawka Yisziki — zauważyła znowu innym tonem Daniela. — Że ona poznała nas jeszcze w hotelu w Kobe, za to dałabym głowę. Nie była tylko pewna, czy się nie myli i dlatego konwojowała nas aż tutaj. Wprawdzie ktoś z naszych stronników zasztyletował ją, ale w ten sposób pogorszył tylko naszą sytuację.

— Obawiam się, że mogą nam przypisać zmowę ze sztyletowcem.

— Niezawodnie tak będzie.

— Do diaska, morze przepłynąć i na samym jego brzegu zatonąć, to już pech, jaki nie spotkał mnie dawno. W każdym razie, madame, proszę zawsze liczyć na mnie. I niech pani gra dalej swoją rolę i domaga się odstawienia do Peipingu, gdzie jest konsul niemiecki. Tam może przyjdzie nam kto z pomocą. Aresztowanie nasze nie ukryje się, gdyż konsul niemiecki, gdy tylko do niego dotrzemy — zdradzi ten fakt innym, a już nasi ludzie będą wiedzieć o kogo chodzi i potrafią obmyśleć jakiś ratunek.

Tak postanowiwszy, czekali stacji w Szimonoseki. Po kilkunastu minutach dojechali do niej, lecz nie wysiedli od razu. Władze postanowiły nie pokazywać publicznie faktu aresztowania dwojga „przeklętych białych" swoim współziomkom i wyprowadzono ich dopiero wtedy z wagonu, gdy cały pociąg się opróżnił. Czekali więc jeszcze z pół godziny, po czym żołnierze wyprowadzili ich z wagonu wprost do oczekującego przed dworcem samochodu, przeniesiono ich bagaże i przewieziono ich w nieznanym jakimś kierunku. Niebawem jednak wylądowali przed gmachem dowództwa miasta. W przedpokoju dowódcy czekali znowu kilkanaście minut i w końcu stanęli przed obliczem jakiegoś pułkownika z krótko przystrzyżoną siwą brodą. Corbin, wierny swojej roli, roztoczył natychmiast treny żalów z powodu zatrzymania.

— Jesteśmy niepomiernie zdziwieni — mówił — że w tak pięknym kraju, jak Japonia, człowiek z dalekiego zachodu nie może spokojnie, jako turysta, odbywać podróży, mimo, że posiada wszelkie papiery w należytym porządku. Ufamy, że pan, pułkowniku, nakaże zwolnić nas natychmiast, gdyż jeszcze dzisiaj pragniemy odjechać stąd do Peipingu, aby się pożalić naszemu konsulowi.

Suchy Japończyk słuchał tych wymówek, a w miejscu, gdy Corbin nazwał go pułkownikiem, powiedział do siedzącego na drugim końcu pokoju oficera w w niezrozumiałym dla agenta narzeczu:

— Jeżeli człowiek ten zna tak dokładnie szarże w naszym wojsku, zaczyna mi być podejrzany.

Corbin, naturalnie, nie zrozumiał tego, pojęła natomiast znaczenie tych słów panna Berthier i, orientując się szybko, szepnęła agentowi po normandzku:

— Nie nazywaj go pan pułkownikiem. Podejrzewa cię.

— Pardon, madame, co pani powiedziała? — spytał natychmiast ciekawy pułkownik. — I jaki to jest język?

— Powiedziałam mężowi, że pan generał nie będzie taki służbowy i każe nas zwolnić — wyjaśniła natychmiast Daniela, podnosząc w randze pułkownika i ratując sytuację zepsutą przez Corbina. — A język, w którym to powiedziałam do męża, jest staroniemieckim językiem, w którym wielu ludzi w naszej ojczyźnie do dzisiaj mówi.

— Ach tak — uśmiechnął się pułkownik. — Zatem jesteście państwo Niemcami? I podróżujecie po naszej pięknej ojczyźnie dla zdrowia i przyjemności?

— Tak jest, panie kapitanie — odrzekł na to z głupia frant Corbin. — Pan major widzi sam, że nie jesteśmy żadnymi zbrodniarzami, nie handlujemy też niewolnikami, ani opium... Nasz konsul w Peipingu na pewno potwierdzi to samo, jeżel pan generał zwróci się do niego z zapytaniem — kręcił i kluczył agent. — Ale najlepiej by było, gdybyśmy mogli bez przeszkód sami tam pojechać. Po co narażać na koszta władze szlachetnego Nipponu.

— Co pan o tym wszystkim sądzi? — zwrócił się znowu w nieznanym Corbinowi narzeczu japońskim pułkownik do drugiego oficera.

— Ci ludzie istotnie wyglądają na dobrodusznych Niemców — odpowiedział zapytany. — Jeżeli mi wolno wygłosić mój sąd, Niemców znam dobrze. Pięć lat bawiłem tam na studiach, mieszkałem wśród nich i jestem przekonany, że ludzie ci są naprawdę spokojnymi turystami.

— Zobaczymy — odpowiedział na to pułkownik. — Tymczasem niech pan skomunikuje się z konsulem niemieckim w Peipingu, a ludzi tych każe zamknąć i strzec do czasu. Ja pójdę zajrzeć do naszej rannej. Ach, czemu przytrafiło jej się takie nieszczęście, takie wielkie nieszczęście? Gdyby ona mogła mówić, dowiedzielibyśmy się może wielu ciekawych rzeczy.

— Dobrze, panie pułkowniku, natychmiast nadam telegram do Peipingu — odrzekł oficer, zabierając się do swoich czynności. Pułkownik tymczasem powstał i oznajmił zatrzymanemu „małżeństwu niemieckiemu", że chwilowo musi ich jednak zatrzymać, dopóki nie nadejdzie wiadomość z Peipingu. Następnie wziął czapkę z wieszaka i wyszedł. Pozostały w kancelarii oficer wskazał im ręką plecioną kanapkę i zaprosił do zajęcia miejsc. Usiedli, a Daniela szepnęła Corbinowi po normandzku:

— Słyszałeś pan, co powiedział ten pułkownik?

— Że zostajemy do wyjaśnienia sprawy tutaj?

— Nie, to, o czym mówił do owego oficera.

— Coś mówił, ale języka nie rozumiem.

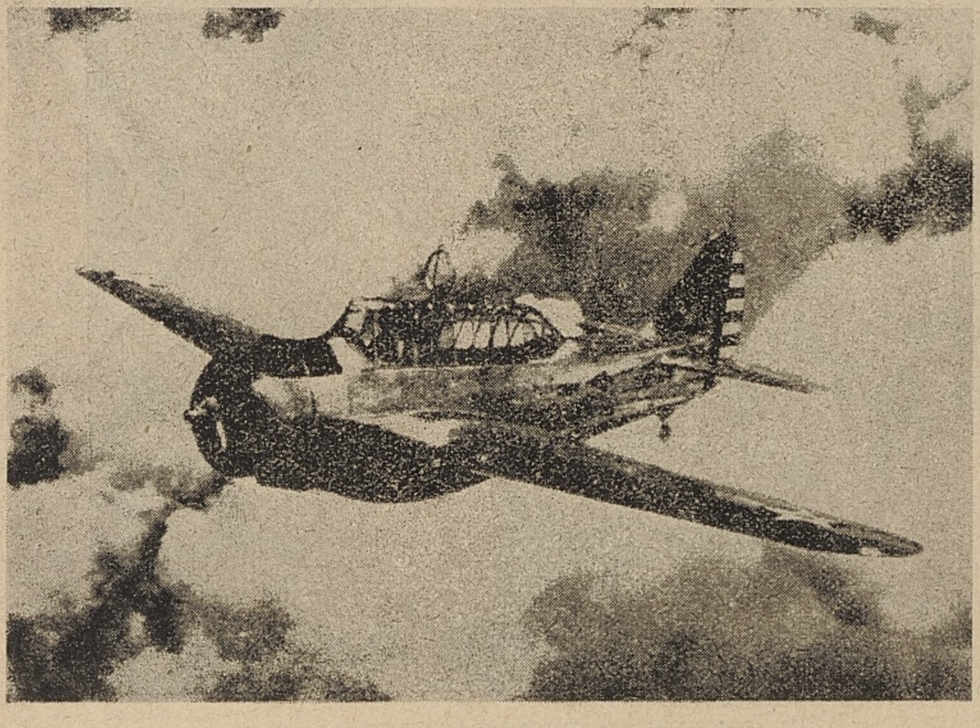
— Nadstaw pan dobrze uszu: z jego słów wywnioskowałam, że Yiszika nas wsypała. I całe szczęście, albo nieszczęście że została ranna i nikt nie może się z nią w tej chwili porozumieć. Nie wyjdzie nam to jednak na dobre, bo pułkownik kazał nas zatrzymać, albo lepiej — po prostu zamknąć w areszcie.

— Do diabła! Czy możliwe?

— Zaraz zobaczymy.

Oficer nadał depeszę i zwrócił się do zatrzymanych.

— Zostaniecie państwo chwilowo osadzeni w areszcie, do czasu, dopóki nie nadej-



Nowy amerykański samolot bombardujący



Rozkoszny brzdąc oczekuje nowej porcji ulubionego przysmaku

dzie odpowiedź z konsulatu niemieckiego z Peipingu. Myślę, że nie potrwa to długo.

— Jak długo jednak możemy czekać na tę odpowiedź, proszę pana?

— Odpowiedź może nadejść jeszcze dzisiaj, ale może być także i tak, że dopiero za tydzień. Proszę się jednak nie niepokoić. Jeżeli konsul niemiecki zaręczy za was, zostaniecie odstawieni do Peipingu i oddani mu w ręce.

— A gdyby nie zaręczył? Wszakże on nas nie zna osobiście? — spytała Daniela.

— To nie szkodzi, zawieziemy państwa do niego i na miejscu sprawę się załatwi.

Corbin odetchnął z ulgą. Wolał znaleźć się w Peipingu, gdzie znał każdą dziurę tak samo dobrze, jak rodowity Chińczyk, niż siedzieć tutaj w Szimonoseki, gdzie nie miał prawie żadnych szans obrony.

Przywołany żołnierz służbowy odprowadził zatrzymanych Müllerów do prowizorycznego aresztu, gdzie mieli cierpliwie czekać na odpowiedź z Peipingu. A cierpliwość ta jakże bardzo była im potrzebna w obecnej sytuacji! Japończycy są rodzonymi braćmi Chińczyków, ale coś w rodzaju braci Kaina i Abla i nienawidzą się gorzej wściekłych psów. Mają jednak wiele cech sobie wspólnych, a wśród tych niewyczerpany wprost zasób cierpliwości. Na Wschodzie w ogóle ludzie się nie spieszą, nie znają co to tempo, nie denerwują się, nie biegają po ulicach, jak szaleni, aby zarobić dużo pieniędzy. Tu każdy ma czas, nieskończenie wiele wolnego czasu. Tyle, tyle czasu... I to jest tutaj najważniejsze. Jakież to szczęście, kiedy nie trzeba co chwila patrzeć na zegarek ani na kalendarz! Jeżeli czegoś nie zrobię dziś, to zrobię to jutro, a zresztą na pewno zrobię to jutro o wiele lepiej, bo dzisiaj za dużo już zjadłem baraniny lub potrawki z cielęcia... I — cóż za rozkosz! Żaden szef nie może wam dokuczyć, żaden urząd podatkowy — dręczyć, ach, w ogóle...!

XXV.
ZDOBYCIE SZANGHAJU

Z chwilą nadejścia pomocy wojskowej chińskiej, obraz walki w podziemiach zmienił się gruntownie. Bezładnej, nieregularnej strzelaninie dotychczasowej, przeciwstawiono regularną walkę przy pomocy wszelkich najnowocześniejszych i najszybszych środków uśmiercania ludzi. Karabiny maszynowe i granaty ręczne, jakich teraz użyli w walce Chińczycy odparły niebawem natarcie japońskie i dzielni synowie Nipponu zaczęli się cofać. Dodało to ducha rycerzom Czang-Kai-Szeka i natarli tak gwałtownie, że niebawem strzelanina po przeciwnej stronie barykady ucichła zupełnie. Znaczyło to, że albo wszyscy Japończycy zostali unieszkodliwieni i stali się niezdatni do prowadzenia dalszej potyczki, albo roztropnie wycofali się na tyły po większą pomoc.

Morton strzygł uszami i denerwował się, wyobrażając sobie już z góry, jaki to wspaniały artykuł pośle do swego koncernu. Zachęcał też Chińczyków do gwałtowniejszego natarcia, do ścigania wroga, mając niewielką zresztą nadzieję, że może natknie się gdzie na zaginionego Freda, którego odżałować nie mógł. Chińczycy też nacierali, pędząc teraz naprzód na złamanie karku, ale przed sobą nie napotykali nań żadne przeszkody. Japończycy jakby się nagle pod ziemię zapadli. Zostawili tylko kilka trupów, trochę łusek od naboi, dwa czy też trzy plecaki i — znikli, ulotnili się jak kamfora.

— Do stu tysięcy smoków chińskich — denerwował się Morton — nie mogli przecież zapaść się pod ziemię. Trzeba ich ścigać, a na pewno dogonimy.

Sam wysunął się teraz naprzód zadyszany z rewolwerem gotowym do strzału, ale nigdzie przed sobą nie znalazł nawet cienia Japończyka.

W końcu, zmordowani i zziajani, zatrzymali się wszyscy i oświetlili wnętrze podziemne. Zobaczyli długie szyje kanałów, prowadzących gdzieś w nieznane strony, niektóre pozamykane żelaznymi drzwiami i sztabami, a była ich na wszystkie strony tak wielka ilość, że słusznie mogły pretendować do nazwy nowoczesnego labiryntu.

— W tych warunkach, monsieur — powiedział jeden z oficerów — niczego nie znajdziemy tutaj. Trzeba się wycofać i zawiadomić dowództwo, niech ono się tym kłopocze.

— Może jednak rozdzielilibyśmy się na kilka partyj i szukali dalej? — zaproponował jeszcze Morton. — Jeżeli Japończycy znaleźli dla siebie bezpieczne wyjście z tego Hadesu na powierzchnię jasnego dnia, spróbujmy i my pójść w ich ślady.

— Nie ma sensu — powiedział oficer. — Niech się sztab sam morduje nad tym. Ja zrobiłem swoje i nie chcę dalej szukać wroga po omacku.

I po tych słowach skrzyknął swoich żołnierzy i nakazał im odwrót. Po drodze zabrali trupy japońskie i pozostawione przez wroga trofea, aby je pewnie przedstawić władzom i pospiesznie zaczęli windować się na górę, do pokoju, z którego prowadziło wejście do podziemi. Morton wydostał się gdzieś w środku oddziału wojskowego i wściekły na Chińczyków, Japończyków i cały ten podły wschodni świat, powlókł się do swojej kwatery. Kiedy mijał sale barowe, nie widział tu już nikogo z tych rozbawionych i rozpróżniaczonych ludzi, których tu jeszcze tak niedawno było pełno. Trzasnął więc drzwiami z impetem i wyszedł na ulicę. Tutaj zobaczył dopiero, że już zapada gruby zmierzch. Jednak światła uliczne paliły się, jak w czasie najspokojniejszym. Nanking-road iskrzył się od tysięcy czerwonych białych i zielonych żarówek, a trzy ogromne domy towarowe na niej wznosiły ku czarno granatowemu nocnemu niebu swe żelazne wieże; knajpy przepełnione były pijącymi marynarzami, w restauracjach tłoczyli się mężczyźni w smokingach i panie w wieczorowych toaletach. A wśród tej wspaniałej białej i kolorowej ciżby przeciskał się ubogi kulis, ciągnący rikszę, a pot, spływający mu po piersiach i plecach, padał na ślady po oliwie z ciężkich wytwornych limuzyn.

Nagle w ten spokój i beztroskę ludzi tracących i zarabiających codziennie miliony, wpadł jeden i drugi bzyk stalowego komara, szybującego pod kloszem czarno-granatowego nieba. Równocześnie prawie rykněły tu i ówdzie syreny, światła elektryczne pogasły nagle i w jednej chwili to olbrzymie miasto, które jeszcze przed chwilą huczało milionami głosów, jak jakieś gigan-



Niemiecki pilot Eryk Gloeckner ustalił rekord wysokości lotu na szybowcu mianowicie 9200 m. Na zdjęciu Gloeckner (po lewej) w czasie wywiadu w studio radiowym

tyczne rojowiska pszczele — zamarło i pogrążyło się w ciemnościach.

Wraz też odezwały się japońskie działa, odpowiedziały im baterie chińskie, z nieba posypał się grad stalowych bomb i oto w jednej chwili wszystko się odmieniło, w jednej chwili rozszalała się szalona groza wojny, która od szeregu już tygodni zawisła nad tym olbrzymim portem.

Morton błyskawicznie zdał sobie sprawę z zachodzących w takim szalonym tempie zmian w nastrojach miasta i postanowił ratować się w jakimkolwiek najbliższym schro nisku. Nie było to jednak ani takie łatwe, ani nawet możliwe do wykonania. W pierwszym więc odruchu skoczył co żywo do najbliższej bramy i ukrył się w niej przed pociskami japońskimi, sypiącymi się ze wszystkich stron. Straszliwy huk we wszystkich stronach miasta świadczył, że tu i tam wybuchają bomby i pociski artyleryjskie, że rozszalało się całe piekło nad biedną ludnością chińską i białą.

Kiedy w pewnej chwili wychylił ze swojego schronu głowę, zobaczył, że w dzielnicach europejskich płoną światła, a kanonierki z morza i rzeki oświetlają własne terytoria, aby je uchronić przed atakami. Od czasu do czasu rozlegały się w tamtych stronach pojedyncze strzały i nawet w koncesji amerykańskiej nastąpił jeden silniejszy wybuch, na co odpowiedziały armaty z krążowników i kanonierek. René z tęsknotą patrzył w tamtą stronę. Niestety, dostanie się teraz na te tereny względnie spokojne było prawie niemożliwe. Wszystkie ulice zaroiły się naraz tłumami ludzkimi, uciekającymi w oszalałym popłochu gdzie oczy poniosą, potem ukazali się żołnierze chińscy, cofający się w największym nieładzie i nie mniejszym popłochu od tłumów ubogich Chińczyków, których jedyny dobytek stanowiły zawiniątka, trzymane na barkach lub wprost pod pachami.

Morton patrzył na to wszystko ze swego ukrycia i miał wrażenie, że widzi potworną bestię apokaliptyczną, która spadła nagle na to olbrzymie miasto i zmiata życie ludzkie potwornymi tchnieniami ognia i stali, burzy gmachy, przewraca sześciopiętrowe kamienice, jak domki z kart, wznieca pożary bijące łunami swymi pod samo niebo, jakby te złowrogie języki ogniste wzywały pomsty niebios na niszczycieli.

Czas zdawał się zatrzymać nagle na jednym miejscu, albo znowu biegł tak gwałtownie naprzód, że z nocy robił się natychmiast dzień od łun pożarów, błysków rwących się pocisków, po to tylko, by znowu przemienić się w czarną maź nocną.

Lecz w pewnym momencie stało się coś najdziwniejszego pod słońcem, coś najmniej spodziewanego nawet w tym kraju tajemniczym i dziwnym, w tym kraju wszelkich najniemożliwszych możliwości. Oto w samym sercu miasta, na najgłówniejszych ulicach i w najważniejszych punktach pojawili się naraz Japończycy. Przerażenie Chińczyków, i tych, pozbawionych prawie wszelkiej odzieży, i tych, ubranych w wyblakłe mundury, w stare zniszczone czapki i liściaste sandały na nogach — było wprost bezgraniczne. A już też zwinni, szybcy w działaniu synowie Nipponu rozstawili swoje śmiercionośne kosiarki i deszcz ołowiu posypał się na tłumy ludzkie na ulicach. Podniosła się wrzawa okropna, bijąca w niebo, szarpiąca nerwy i burząca krew.

Jeden Morton w tej okolicy zapewne zrozumiał, co to wszystko znaczy. On jeden mógł przewidzieć, że tak właśnie się stanie. Ale i on na widok straszliwej kośby prawie bezbronnych ludzi na ulicach w pierwszym odruchu zasłonił oczy dłońmi. Nie mógł spokojnie patrzeć na taką masakrę. Nie był człowiekiem przeczulonym i dającym się unosić nieraz przesadnemu miłosierdziu; w czasie swojego pobytu na Dalekim Wschodzie przywykł do nędzy milionów ludzi i nie przejmował się nią w normalnych czasach więcej, niż ktokolwiek inny spośród kupców i eksploatatorów białych, ale tym razem widowisko przechodziło wszelkie wyobrażenie człowieka normalnego. Toż tutaj nie było prawie nigdzie bezpiecznego schronienia, zdawało się, że nie ma miejsca, gdzie by śmierć nie zbierała swego strasznego żniwa. Więc postanowił uciec z tego krwawego miejsca,



Studentki amerykańskie w roli „cowg rls" uczą się trudnej sztuki władania lassem

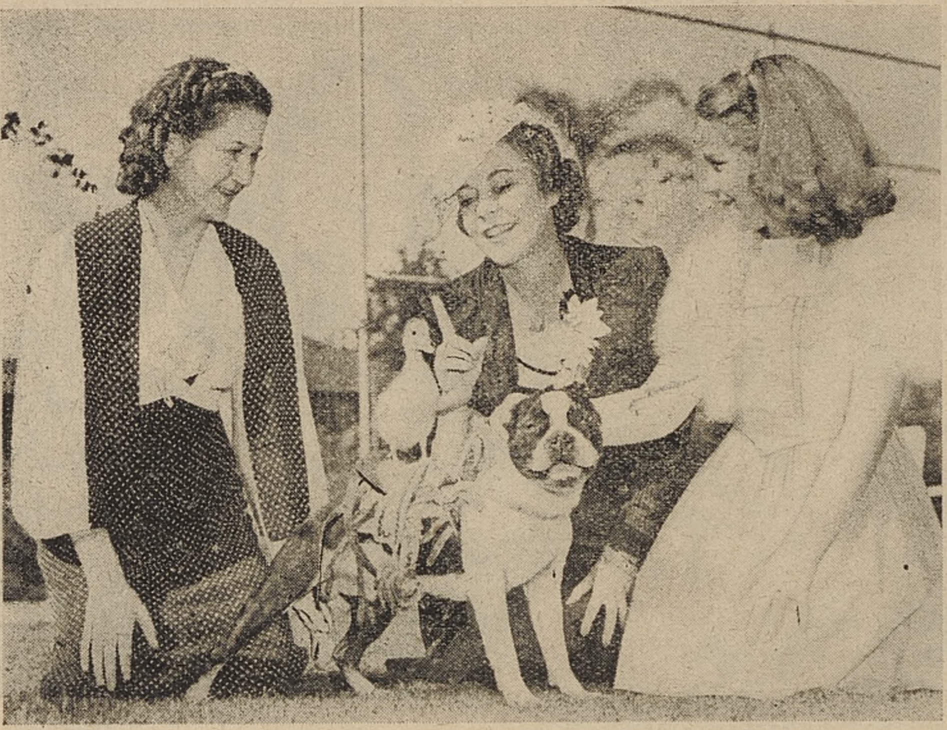
uciec gdzieś jak najdalej, byle nie widzieć, byle nie patrzeć na to wszystko, co się tu rozgrywało.

Wybiegł więc ze swojego prowizorycznego schronu i, klucząc, chroniąc się to w jednej, to drugiej bramie, to za jednym, to za drugim węgłem, narażając się po tysiąckroć na śmierć lub kalectwo — dążył uparcie do koncesji francuskiej lub jakiejkolwiek innej europejskiej, aby się tam schronić. W ciągu godziny, a może więcej udawało mu się to szczęśliwie, ale w pewnym miejscu, gdy zamierzał przebiec jezdnię na drugą stronę, jakaś zabłąkana kula, odbita od muru, ugodziła go w prawy obojczyk. Morton padł na środku jezdni i poczuł, jak słabnie z chwili na chwilę, więc ostatkiem sił dźwignął się i dopadł ściany domu. Nie stracił jednak przytomności, chociaż krew płynęła mu z rany obficie, bo rozumiał, że strata przytomności w takiej chwili, to niechybna śmierć.

Późniejsze wypadki pamiętał już tylko jak przez mgłę. Ktoś podniósł go z ziemi, ktoś drugi podstawił nosze, na których go położono i poniesiono w jakimś nieznanym mu bliżej kierunku.

Obudził się dopiero w szpitalu. Kiedy się rozejrzał dokoła, zobaczył, że tylko on jeden leży na łóżku, podczas gdy wszyscy inni spoczywają na matach na podłodze, lub wprost na gołych deskach.

Był przytomny, chociaż czuł, że za każdym ruchem okrutny ból szarpie go w obojczyku i nie pozwala nawet muskułowi drgnąć. Ale mógł przynajmniej patrzeć i przyglądać się szeroko otworzonymi oczami temu wszystkiemu, co działo się dokoła. Oto zobaczył postacie ludzkie, rozciągnięte dokoła w najwyższej agonii bólu. Byli to wszystko biedacy chińscy, którzy walczyli przeciwko inwazji japońskiej. Niektórzy z nich nie mieli więcej jak po trzynaście — czternaście lat. Chłopi, robotnicy, kulisi z odległych wiosek — poszli do wojska, aby zarobić codzienną miseczkę ryżu i parę obiecanych dolarów, których im nigdy nie wypłacono, a które znaczyć miały tak wiele dla ich nieszczęsnych rodzin. Ubrani byle jak — w wyblakłe mun-



W dniu dobroci dla zwierząt w Los Angelos nastąpiło zbratanie między psem i kaczątkiem, które czuło się zupełnie dobrze w roli jeźdźca

dury i takież czapki, w liściaste sandały na nogach, uzbrojeni tylko w karabiny i granaty ręczne, walczyli przeciwko gigantycznej machinie japońskiej — machinie, dzięki której każdy Japończyk dorównywa tysiącowi Chińczyków. Od pięciu miesięcy — jak się później dowiedział Morton — nie wypłacono im żołdu, ale mimo to walczyli, nie cofając się nawet o cal.

Z zsiniałych warg tych strzępów ludzkich dobywały się mamroczące dźwięki: mamo - mamo... Obok nich leżały nędzne tobołki z ich ziemskim dobytkiem: stary mundur, para sandałów liściastych, czapka, flaszka z wodą, parę jakichś drobiazgów, czas m może parę miedziaków.

Morton nadziwić się nie mógł temu wszystkiemu. Wiedział z własnego doświadczenia, że Chińczycy z całego świata przysyłali telegraficznie pieniądze dla armii, ale pieniądze te nigdy nie docierały do żołnierzy. Przechodząc przez ręce bankierów i polityków przepadały w ich kieszeniach. Tym jednak nie przeszkadzało wcale brać na swój rachunek bohaterstwa tych zmasakrowanych, leżących obok ludzi. Sami płacili sobie za to dobrze!

Lecz teraz dopiero otworzyła się przed jego oczami cała prawda. Straszna, wołająca o pomstę do nieba prawda!

Po jakiejś godzinie przyszedł do niego lekarz. Był to Rosjanin, człowiek jeszcze młody i, tak by się zdawało — niedoświadczony, ale René wiedział, że to błąd zasadniczy. Dr. Bezduszew należał do tej kategorii Rosjan, przysyłanych tu przez swój rząd, którym nie obca jest nie tylko sztuka leczenia, ale także i struktura socjalna państwa środka. Obok bowiem misji czysto ludzkiej — pomagania cierpiącym — Rosjanie tego pokroju mają także i misję drugą, utajoną — misję polityczną.

— Jakże się pan czuje, monsieur Morton? — zapytał lekarz, przysiadając się na małym taboreciku, stojącym przy łóżku rannego.

— Nie całkiem dobrze, doktorze — odrzekł René. — Rana piecze mnie tak wściekle, jakby tam siedział rozpalony drąg żelazny.

— Niech się pan tym nie przejmuje, będzie lepiej.

— Ba! Ale kiedy?

— Kiedy rana zacznie się goić. Ma pan naruszoną kość obojczykową, więc proszę pamiętać, aby leżeć spokojnie i nie drażnić rany.

— Postaram się, o ile tylko będę mógł. Ale tymczasem, doktorze, proszę mi powiedzieć, gdzie ja się właściwie znajduję?

— W Su-Czou.

— Jakimże to cudem się stało? Pamiętam tylko tyle bowiem, że zostałem ranny w śródmieściu Szanghaju w czasie tej straszliwej orgii ognia i żelaza owej niezapomnianej nocy i nic poza tym.

— Uprzątnęło pana pogotowie szwedzkiego Czerwonego Krzyża i dostawiło tutaj. Tu też posklejaliśmy pańską ranę, zabandażowali, nałożyli formę gipsową i spodziewamy się, że niedługo wróci pan do zdrowia.

— A cóż z Szanghajem?

— Padł. Desant japoński, który najniespodziewaniej w świecie znalazł się podczas tej walki w samym środku Szanghaju, przesądził o obronie dzielnych wojsk chińskich.

— Więc tam już niepodzielnie panują Japończycy?

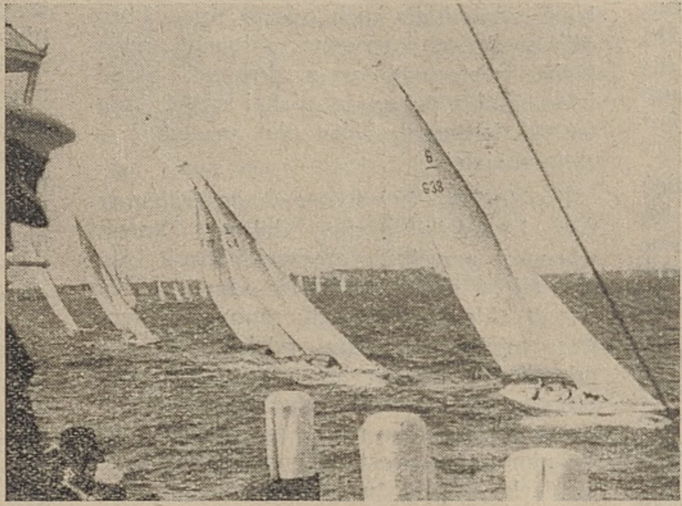
— Niepodzielnie, to jeszcze nie, gdyż miasto to jest zbyt wielkie, aby je można w całości po jednej bitwie nocnej zagarnąć. Ale obrona, która tam jeszcze jest prowadzona, ma raczej za zadanie umożliwić odwrót poszczególnym jednostkom chińskim.

— Ofiar w ludziach musi być wiele?

— Lepiej o tym nie mówmy, proszę pana. To nie była walka, a jakaś straszna, nieludzka rzeź dzieci, gdyż większość wojsk, które broniły Szanghaju, składa się z niedorostków. O, patrz pan — wskazał lekarz ręką strzępy ludzkie, porozkładane na podłodze. — Brak łóżek, brak wszelkich koniecznych środków opatrunkowych brak ludzi do pracy. Na jednego lekarza przypada tutaj, w tym szpitalu — do 400 rannych, a iluż chorych umiera przed wizytą lekarską. Wprost upadamy z sił, sypiając tylko od wypadku do wypadku. To jest okropne!

— I pomyśleć tylko, że tych okrucieństw dopuszczają się wzajem na sobie ludzie jednej rasy, niemal bracia!

— Pan się myli — zaprotestował z miejsca Bezduszew — to nie oni tych przerażliwych rzeczy dokonują, to działa jad zachodniej cywilizacji.



Na żaglach

W zawody pójść z wichrem
w nieznane przestrzenie.
Niech morze nas złączy
fal srebrnym pierścieniem.

Pod żaglem bezpiecznie
wędrować morzami,
Kompasem są gwiazdy
co płoną nad nami.

Ster ująć i płynąć,
wciąż dalej i dalej!
Choć w masztach nam burza
sztormem się rozżali.

Żeglujmy odważnie
w dalekie południe,
gdzie lądy słoneczne,
gdzie tak jest przecudnie!

Gdzie puszcze nam szumią,
gdzie płoną nam zorze.
Bądź pozdrowione —
ukochane morze!

Józef Baranowski.

— Ależ...

— Ależ tak, z całą pewnością! Zaraz pana o tym przekonam. Jeżeli tej przeraźliwej nędzy chińskiej kto jest winien, to człowiek biały pierwszy powinien uderzyć się w piersi, on to bowiem wpoił nieludzkość, dodając ją do już istniejącej — w serca ludzi Wschodu. My i tylko my, jesteśmy dużymi winowajcami tego, co się tutaj dzieje. Człowiek biały zastał niewolnictwo i zastał handel przeklętą trucizną tutaj. I cóż uczynił, aby zwalczyć te dwie podłe rzeczy? Sam zajął się handlem niewolnikami i handlem opium.

— Ależ, doktorze — zaperzył się Francuz — gdzie pan tu spotkał handel niewolnikami, uprawiany przez białych?

— Gdzie? Na każdym kroku. W Hong-Kong, owej stolicy angielskiego imperializmu na Wschodzie, istnieje filia wielkiego towarzystwa handlowego, dostarczającego robotników do kopalni rudy cynkowej w holenderskich Indiach Wschodnich — do kopalni położonych na terenie tak niezdrowym, że ludzie mogą żyć tam bardzo krótki okres czasu. A jednak dwa — trzy razy do roku Towarzystwo Holenderskie wysyła do prowincji Kwantung agentów, angażujących robotników chińskich, aby opowiadali, jakie to bogactwa czekają ludzi, którzy pojadą do holenderskich Indyj Wschodnich. Agent taki otrzymuje pewną ilość dolarów od głowy — i sumą tą dzieli się z urzędnikiem chińskim, który pozwala na angażowanie robotników i który wydaje paszporty ofiarom.

Tych nieszczęśliwców wysyła się partiami po paręset ludzi — do Hongkong, gdzie towarzystwo holenderskie poddaje ich badaniu, aby sprawdzić, czy mają klatki piersiowe dość szerokie, a ręce i ciała dość silne, aby wykonywać pracę, której nie chcą się podjąć tubylcy w holenderskich Indiach Wschodnich. W Hongkong pakuje się ich razem na okręty towarowe, jakimi bydła nie przewiozło by się w żywym stanie w Europie — i wysyła dalej. Gdy przybywają do portu w holenderskich Indiach Wschodnich, wyładowuje ich się na brzeg i zamyka w zagrodach, gdzie daje im się do podpisania zobowiązania prawne w języku holenderskim. Ludzie ci, nie umiejący czytać nawet w swoim języku, na pewno nie umieją nigdy czytać po holendersku — a, nie wiedząc nic o prawnych zobowiązaniach, są wobec nich bezradni. Również — nie mówi im się nic, że zostaną zmuszeni do położenia odcisków palców swoich na takim dokumencie, odbierającym im wolność na dziesięć lat.

Tak spreparowany przez sprytnych Holendrów dokument, zobowiązuje nieszczęśliwych Chińczyków do pracy w kopalniach rudy cynkowej przez dziesięć lat za zapłatą, wyznaczoną przez Holendrów i na warunkach, które czynią z nich niewolników. Dokumentu tego nie dano im w Chinach, gdzie mieli jeszcze wolność wyboru. Ale teraz informuje się ich, że jeżeli odmówią położenia swego podpisu, będą musieli zapłacić towarzystwu za prze-

jazd oraz żywność w drodze do tego obcego kraju — i że będą musieli natychmiast stąd wyjechać i opłacić swoją drogę z powrotem do Chin. Jeżeli wciąż jeszcze protestują — spotykają się nieodmiennie z butem swych nowych holenderskich władców i z batem używanym zupełnie dowolnie. W rozpaczy wielu z nich podpisuje, ponieważ przykuci już są do koła nędzy i ciemnoty — a i ci, którzy przeciwstawiają się temu — jak niektórzy byli żołnierze, których Holendrzy nazywają „złym elementem" — podpisują także, ponieważ „walczyć — to zdechnąć z głodu, a wrócić — to znaczy zmieszać się z piaskiem na pustyni..." Jeżeli więc to wszystko, co wyprawiają tutaj z Chińczykami Holendrzy, i nie tylko Holendrzy, nie jest najzwyczajniejszym handlem niewolnikami, to ja jestem człowiekiem w kropki i kreski, a nie białym.

René nic nie umiał na to odpowiedzieć. Ta sprawa znana mu była doskonale i kilkakrotnie poruszał ją w swoich reportażach, piętnując haniebne metody Holendrów. W swoim czasie wywołało to nawet dyskusję w Lidze Narodów, ale skończyło się — jak zwykle w tej sławetnej instytucji — na dyskusji i odesłaniu całej sprawy do jakiejś tam komisji, gdzie zapewne do dziś dnia pokutuje, a Holendrzy w dalszym ciągu handlują chińskimi niewolnikami.

— Obecnie — podjął znowu po chwili Bezduszew — właścicielami niewolników tutaj są nie tylko Anglicy, Holendrzy, Francuzi i Amerykanie. Należą również do nich i milionerzy chińscy; należą synowie chińskich ojców, którzy spędzili życie na ciężkiej pracy, albo niezwykłymi i kretyńmi sposobami zdobyli sobie wielkie majątki. Ci kolorowi, to bardzo pojętni uczniowie ludzi białych, to oni nauczyli ich, jakimi sposobami trzeba robić majątki i jak handlować niewolnikami.

Bezduszew był mocno wzburzony i pewnie byłby długo jeszcze na ten temat prawił, widać bowiem było, że doskonale obeznany był ze stosunkami tutejszymi, gdyby go nie byli odwołali do sali operacyjnej. Pożegnał więc Renégo i udał się tam, gdzie go proszono. Tymczasem Morton, zostawszy sam, przyglądał się dokoła konającym mężczyznom i dzieciom i rozmyślał o tym wszystkim, co działo się teraz na tym olbrzymim lądzie, zamieszkałym przez 440 milionów Chińczyków. To, co powiedział Bezduszew, było rzetelną prawdą, ludzie biali, pogardzając z jednej strony „żółtymi", nie omieszkiwali z drugiej znowu strony ciągnąć z nich wszelkich soków żywotnych. Rozpierali się tutaj, jakby byli istotnymi panami Chin, a gdy upośledzony tubylec odważał się głośniej protestować, zjeżały się zaraz przed jego nosem lufy armat kanonierek włoskich, krążowników angielskich, torpedowców francuskich i niemieckich i olbrzym cichł i pokorniał. Lecz też nędzy chińskiej nie byli winni wyłącznie ludzie biali. O nie! Klasowość, rządy uzurpatorów generałów-taryf, niejednokrotnie wczorajszych bandytów, waśnie i walki domowe z byle powodów — to były także przyczyny. Nie mogło się dziać dobrze w takim państwie, gdzie rana żołnierza kosztuje 6 dolarów, a rana generała 15 tysięcy dolarów meksykańskich. Od tej przywary nie był wolny i sam Czang-Kai-Szek, którego tak chwalą państwa ludzi białych. Dla własnych celów odsunął on od siebie cztery dotychczasowe legalne żony i ożenił z córką Sun-Yat-Senów, aby wygrać li tylko atut polityczny. Dobro kraju? Dobro mas chińskich? Obrona ojczyzny w pojęciu europejskim? Śmiech na stronę. Czang-Kai-Szek był ulepiony z tej samej gliny, co wszyscy inni generałowie-taryfy.

I Mortonowi przypomniała się historia jednego z takich dzielnych generałów-taryf, Fan-Jo-Senga. Człowiek ten był zwyczajnym chun-chuzem, bandytą chińskim w Szeczuenie, ale został przekupiony przez generałów rządu południowego w Nankinie, zdobył dla nich miasto Szasi i bronił go przed czerwoną chłopską rewolucją. Szasi, to jeden z głównych ośrodków handlu opium w górnej części Jangtse, — i generał, który nim zawładnie — zbije majątek.

Fan-Jo-Seng był typowym generałem-taryfą i wiedział o tym dobrze. Dlatego wyruszył przeciwko czerwonej armii i dostał tak w skórę, że ledwie sam z życiem uszedł. Ale został wtedy ranny. Żołnierze jego leżeli ranni tam, gdzie padli i umierali tak prędko lub wolno, jak sobie życzyli. Ale generała natychmiast przeniesiono do szpitala misyjnego, gdzie zajęli się nim natychmiast najlepsi lekarze i pielęgniarki. Później przewieziono go do szpitala w Hankau. René spotkał go przypadkowo na statku angielskim i tam też dowiedział się szczegółów z jego życia. Fan-Jo-Seng podróżował wtedy z dwoma lekarzami, kilku pielęgniarkami i dziesięciu nałożnicami. Nadto towarzyszyli mu dwaj politycy z Koumintangu i jeden oficer służbowy. Wszyscy jechali pierwszą klasą i otaczali generała-taryfę takimi staraniami, jakby wieźli samego syna nieba. Mimo wyleczonej nogi, generał nie chodził wcale na swoich kończynach, gdyż jego nałożnice wprost żebrały o łaskę przeniesienia go z jednego miejsca na drugie. Przenoszono go więc do sypialni i stamtąd do jadalni, z jadalni na pokład i w miejsca ocienione — gładzono go po włosach, czule trzymano za rękę, fotografowano... Bohater narodowy niemal! A tymczasem niektórzy utrzymywali, że bohater został postrzelony w hotelu Hankau, lub w palarni opium w Szasi.



101-letnia matka 12 dzieci została w Niemczech odznaczona krzyżem, który ostatnio wprowadzono dla matek powyżej 60 lat

W Szangahju spotkała bohaterskiego generała cała armia polityków i bandytów tego samego pokroju, co on. Jeden z nich, człowiek bogaty i wspólnik opiumowy Fana posłał samolotem dwóch lekarzy do Hankau po lekarstwa i inne utensylia, ratując przyjaciela. Był nim sławny bandyta i szef gangsterów szanghajskich Tu-Jueh-Seng, wódz szmuglerzy opium i zbrojnych porywaczy, mianowany oficjalnie przez rząd południowy w Nankinie „agentem do walki z komunizmem w Szanghaju". Tu-Jueh-Seng powitał swojego krwawego brata, generała-taryfę Fan-Jo-Senga, króla opiumowego w Szasi, właściciela haremu złożonego z dziesięciu nałożnic wyrazami najwyższego szacunku. Specjalny ambulans czekał, aby odwieźć bohaterskiego generała do szpitala. W uroczystej procesji przeniesiono go i złożono do ambulansu. Długi sznur samochodów sunął w ślad za nim. Fotografia generała-taryfy ukazała się w całej prasie — fotografia bohatera narodowego...

Morton obliczył wtedy, że cała podróż generała z pola bitwy do szpitala w Szanghaju musiała kosztować najmniej 15 tysięcy dolarów meksykańskich. Tyle pożarł jeden człowiek skutkiem odniesienia lekkiej rany. A tymczasem teraz oto, o krok od Mortona, leżą strzępki ludzkie, podarte w okrutny sposób, na leczenie których wyasygnowano zaledwie 6 dolarów, a i te nie wiadomo czy dojdą do właściwych rąk.

Jakże dziwny jest ten kraj!

Pod wieczór tego dnia Morton czuł się już znacznie lepiej, to znaczy — rana nie dokuczała mu tak boleśnie, jak z rana, i zażądał widzenia się z doktorem Bezduszewem. Sanitariusz chiński, z którym na ten temat rozmawiał, odpowiedział mu, że doktór teraz jest bardzo zajęty, gdyż przyszły nowe transporty rannych, a prócz tego cały szpital ma się przenieść dalej na tyły, prawdopodobnie do Si-Anu.

Morton zdziwił się tym po trosze, gdyż nie rozumiał, jak można ruszać z miejsca ludzi, którzy zaścielają wszystkie podłogi tego szpitala i umierają nieraz bez żadnej pomocy lekarskiej. Spytał więc sanitariusza:

— Czy wszystkich rannych zabieracie ze sobą?

— Jeżeli zdążymy — usłyszał odpowiedź.

Wygodne stanowisko! Jeżeli nie zdążą zabrać wszystkich, resztę zostawią na pastwę śmierci lub ewentualną łaskę Japończyków, którzy tu przyjdą. Mortonowi przyszło na myśl, czy przypadkiem i jego nie zamierzają tu zostawić, więc tym energiczniej zaczął się dopominać, aby przysłano mu tu doktora Bezduszewa. Sanitariusz przyrzekł i wyszedł i René znowu został sam z tymi strzępami ludzkimi, dogorywającymi na brudnej podłodze szpitala.

Jego cierpliwość tym razem miała być wystawiona na wielką próbę, gdyż ściemniło się już, zanim zjawił się przy jego łóżku lekarz.

— Cóż tam, monsieur Morton, czy rana bardzo dopieka? — spytał doktór, obcierając ręcznikiem ręce.

— Nie, rana się uspokoiła, ale trapi mnie zupełnie co innego. Panowie, jak się dowiedziałem, ewakuujecie ten szpital?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Wariatka

— Nie jestem bez serca, daję dużo na różne cele, ale wszystko ma swoje granice. Zresztą teraz nie czas na to, mamy co innego przed sobą: rekolekcje i nasze dusze.

Iga zacisnęła zęby.

Przedstawienie stawało się tragicznym nieporozumieniem.

Chciała się prędko oswobodzić od towarzystwa ciotki. Zaproponowała więc, żeby wrócić do salonu.

Po chwili opuściła niepostrzeżenie salon, pobiegła do kredensu. Pytała służbę o człowieka, który tu był przed chwilą. Nikt go nie widział, nikt nic nie mógł jej o nim powiedzieć. Poszła do kuchni. Tam też niczego się nie dowiedziała. Obeszła cały dom dokoła, nikogo nie było.

Z ciężkim sercem wróciła do swego pokoju.

Nie mogła spać.

Biedny chłopina stał jej wciąż przed oczami.

Wiedziała, że ciotka nie była zła. Nie mogła więc pojąć, jakim sposobem mogła nie dojrzeć w wyrazie twarzy tego człowieka tak strasznej wyraźnej rozpaczy. Czy dlatego, że przejęta była „ważniejszymi sprawami"?

Dlaczego nie rozumiała, że jego rozpacz to najważniejsza w tej chwili sprawa?

Nie mogła spać. Ledwo się zdrzemnęła, we śnie ukazywała się twarz, pełna niemego bólu, i zrywała ją z posłania.

Dopiero nad ranem usnęła twardym, ciężkim snem.

Mizerna, z podbitymi oczami, siedziała przy pierwszym śniadaniu wraz z ciotką i kilkoma paniami.

Raptem otworzyły się drzwi od kredensu i wpadła dziewczyna kuchenna.

— Co się stało? — zawołała ciotka.

Dziewczyna miała szeroko przerażeniem otwarte oczy.

— Proszę pani dziedziczki, Hawryluk utopił się w sadzawce!!

— Jezus Maria!! Ciociu!... — krzyknęła Iga, chwytając się za serce, blada jak płótno.

Ciotce zadrżała ręka, w której trzymała mały srebrny nożyk.

— Jakże to się stało? — zapytała niepewnym głosem. Jednocześnie wstała i skierowała się do kredensu.

Fatalna wiadomość obiegła cały dwór w jednej chwili. Wszyscy mówili o wypadku, komentowali w rozmaity sposób.

Wreszcie ustalono, że biedak ten już od dawna zdradzał jakiś nieporządek klepek w głowie i że było do przewidzenia, że wcześniej czy później zrobi coś „niewłaściwego". Było to nawet tak dalece i pewnie stwierdzone, że całkowicie usprawiedliwiało jego czyn, wobec czego nie odmówiono mu pogrzebu i ciotka Felicja sama pogrzeb ten finansowała, jak również zamówiła na intencję „nieszczęśliwego" Mszę św. z większą ilością świec.

Cała okolica była tym zbudowana.

Iga chodziła jak błędna.

Uprzytomniła sobie, że dla tych ludzi frak, jedzenie ryby bez noża i religia — to ten sam poziom: toalety i dobrego tonu.

Ta „toaleta", którą tu chciano na nią włożyć, by zmazać „krzywdę" wyrządzoną jej przez rodziców — dławiła ją. Dusiła.

Przyszła do swego pokoju. Zapakowała rzeczy. Zadzwoniła. Kazała znieść na dół walizkę. Poszła do ciotki poprosić o konia na stację.

— Dlaczego tak nagle chcesz wyjechać? Jak możesz robić mi coś podobnego?! Dziś po południu mamy spowiedź!...

— Więc niech się ciocia wyspowiada ze śmierci Hawryluka... Ja dłużej w takiej bolesnej komedii pozostawać nie mogę.

— Wariatka!! — wyrwało się w irytacji z ust ciotki. Odeszła wydać rozporządzenie o konie.

Iga nie widziała już nikogo z całego towarzystwa — i wyjechała.

Długo nie mogła wrócić do równowagi po tym strasznym wypadku, który wstrząsnął nią do głębi duszy i serca.

A potem przyszły najcięższe chwile jej życia.

Zosia zachorowała — i po kilku dniach umarła. Straszna była rozpacz jej męża. Iga, złamana w tym samym stopniu, miała przynajmniej oparcie w Stefanie. Pełen zawsze tej samej dla niej miłości, odczucia i zrozumienia, najdroższy, najbliższy jej człowiek. On jeden umiał kojąco na nią wpływać, nawet bez słów. Wystarczyło, aby był przy niej.

Ale przyszło drugie nieszczęście, tym gorsze, że spadające bezpośrednio po pierwszym: Stefan...

W tydzień po pogrzebie Zosi Iga, wychodząc do banku, była trochę o niego niespokojna, nie miała bowiem zwykłego rannego telefonu na dzieńdobry. W ciągu całego ich pożycia małżeńskiego tylko trzy czy cztery razy nie telefonował rano; zawsze z powodu jakiejś przeszkody nie do pokonania. Była jednak pewna, że wkrótce zadzwoni do niej do banku.

Jak zwykle więc spokojnie i systematycznie szykowała się do pracy: otworzyła biurko, wyjęła z szuflad potrzebne papiery. Jak zwykle przyszedł woźny i położył koło niej złożoną gazetę.

Spojrzała na nią i w jednej chwili pociemniało jej w oczach, serce zamarło w skurczu potwornego bólu.

Duże czarne litery tytułu bezlitośnymi razami uderzały w jej świadomość:

„Straszna katastrofa lotnicza.

Major Stefan hr. Rolski poniósł śmierć na miejscu."

Iga zemdlała. Siły jej nie wytrzymały: przed tygodniem Zosia, teraz — Stefan.

Ocknęła się na kanapie w gabinecie szefa. W jednej chwili uprzytomniła sobie wszystko. W głowie, w sercu, w całej swojej istocie poczuła niewypowiedziany głuchy ból, który ją łamał, miażdżył wewnętrznie.

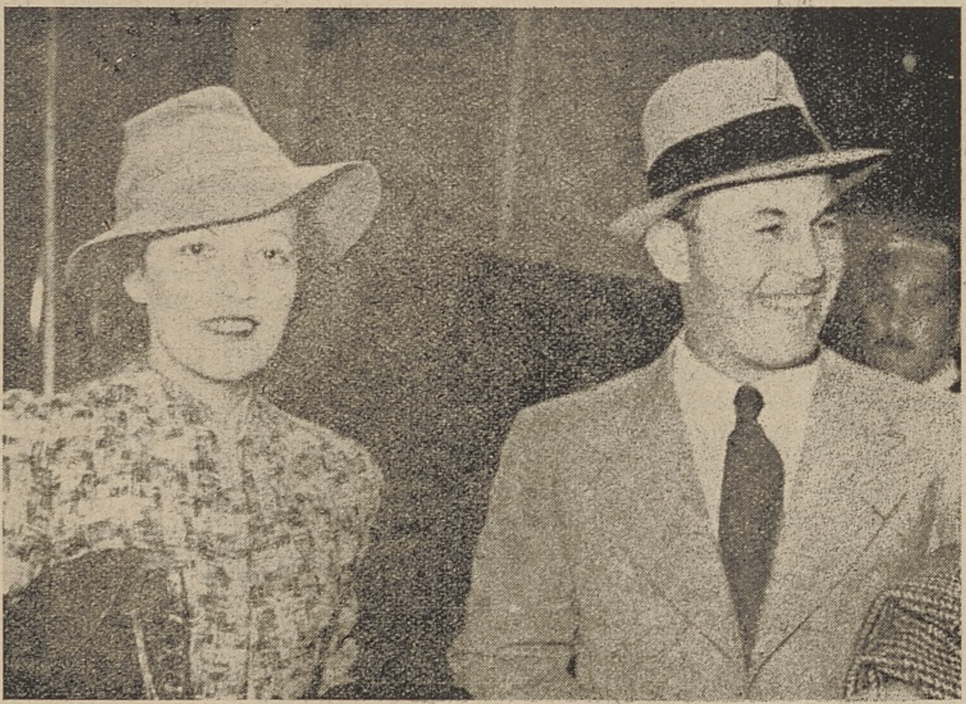
Nie poznawała otaczających ją osób, nie rozumiała co do niej mówiono. Wiedziała tylko jedno: Stefan nie żyje — Stefan nie żyje — jej mąż...

Mąż...

Nikt nie wie, że to jej mąż.



Uroczystość podniesienia flagi w Oficerskim Yacht Klubie w Warszawie



Jan Kiepura z małżonką przybyli do Paryża, by wziąć udział w koncercie urządzanym przez Maurice Chevalier'a na rzecz schroniska dla artystów-weteranów



Gen. Franco przybywa na defiladę zwycięstwa w Madrycie

Nie wolno jej zdradzić jego tajemnicy.
Zrobiła nadludzki wysiłek i żelazną wolą ujęła całą siebie w garść. Podniosła się trupio blada, ze szklanym wyrazem oczu.
— Panno Jadwigo — mówił do niej jej szef — wiemy, jak bardzo dla pani wciąż jeszcze jest bolesną śmierć pani siostry. Może było by lepiej, gdyby pani gdzieś wyjechała na jakiś czas... w inne otoczenie, w inne warunki. To najlepiej robi na uspokojenie. Sam załatwię wszystko z dyrektorem. Tak dawno pani u nas pracuje, że nie będzie na pewno żadnych przeszkód wobec tak specjalnych okoliczności.
— Nie... dziękuję. Chciałabym tylko przez tydzień móc nie przychodzić do banku... — mówiła wolno, obcym jej bezdźwięcznym głosem.
— Ależ naturalnie. To już załatwione. Może która z koleżanek odwiezie panią do domu, bo, mam wrażenie, siły opuściły panią zupełnie.
— Dziękuję... pójdę sama.
Szła na drewnianych nogach, jak automat. Nic nie widziała dokoła siebie, nic nie słyszała. Nie myślała o tym dokąd idzie, bo nie była zdolna do myślenia w ogóle.
Ale przyszła do szpitala Ujazdowskiego.
Zapytała o Stefana.
Odźwierny popatrzał na nią z wyrazem współczucia.
— Ciało jest w trupiarni... ale tam nie wpuszczają...
Trupiarnia. Stefan w trupiarni...
Lodowaty chłód prześliznął się po krzyżu Igi.
— Gdzie to jest?
— Prosto i na lewo.
Poszła.
Drzwi były zamknięte. Dokoła nie było nikogo. Oparła się o te drzwi i stała tak nieporuszona, jak martwa. Nie wiedziała jak długo.
Raptem jakiś głos życzliwy odezwał się koło niej:
— Pani tam ma kogoś?
— Major Rolski...
Wyraz jej twarzy musiał mówić za siebie, bo dyżurny popatrzywszy na nią, powiedział dziwnie zdławionym głosem:
— Właściwie nie wolno... ale na jedną chwilkę to panią wpuszczę...
Szybko się obejrzał i prędko przekręcił klucz w zamku.
Weszli razem. Przymknął drzwi.
Chłód przepojony trupim zapachem ogarnął Igę. Zachwiała się. Dyżurny podtrzymał ją silną ręką.
— To tu.
Coś leżało pod białym prześcieradłem.
— Niech pani tylko na twarz popatrzy... dalej to lepiej nie...
Odchylił brzeg prześcieradła.
Twarz była nienaruszona. Szara. Usta zaciśnięte, jakby w strasznym cierpieniu.
Iga, podtrzymywana przez dyżurnego, patrzała w tę ukochaną najdroższą twarz nieruchomemi szeroko otwartemi oczami.
Ten człowiek, wczoraj żywy, pogodny, chodził, rozmawiał, tulił ją do siebie...
A dzisiaj — już trup.
Z piersi Igi wyrwał się ciężki, bolesny jęk.
— Chodźmy już, bo nie można tak długo.
Iga przytuliła twarz do martwej głowy. Poczuła okrutny chłód śmierci.
Cofnęła się szybko. Serce miała tak ściśnięte bólem, że bić przestało. Zabrakło jej tchu. Stała się szara, jak ten trup.
Nie wiedziała kiedy ją stamtąd wyprowadzono. Nie wiedziała kto ją posadził na ławce. Siedziała.
Po kilku minutach przyszedł dyżurny. Przyniósł w kubku zimnej wody.
Napiła się, a potem bez słowa odeszła.
Straszne były wszystkie następne godziny. Sama jedna ze swoim niezmierzonym bólem, z rozpaczą graniczącą z obłędem.
Na drugi dzień przyjechała Irka. Wiedziała jak bliskie stosunki łączyły Igę ze zmarłym (nie wiedziała tylko o ślubie), dlatego też natychmiast przybyła do niej, aby nie była samą w tych okropnych chwilach.
Było to dla Igi wielką ulgą.
Nie była sama. Był przy niej ktoś bliski, oddany i kochający.
Pogrzeb.
Gehenna łamanego, tłumionego bólu.
Jej miejsce było tam, najbliżej. Przy samej trumnie.
A stała w bocznej niszy kościelnej, za filarem. Irka była przy niej.
Patrzała martwym wzrokiem w koronkę, zwieszającą się u wezgłowia trumny.
Jej mąż — jej ukochany Stefan.
Nabożeństwo było nieskończenie długą katorgą.
„Requiescat in pace".
Gaszenie świec. Rozsuwanie roślin, otaczających katafalk.
Niosą trumnę.
Za nią najbliżsi. Potem fala ludzi. I w tej fali, wśród obcych, daleko — ona. Najbliższa mu istota. Najbardziej kochana.
Sunie kondukt. Orkiestra gra marsza żałobnego.
Iga idzie. Oczy suche, bez jednej łzy, utkwione w trumnie. Gardło ściśnięte. Serce porwane na strzępy. Nogi drewniane.
Nad grobem długiej mowy.
Jakieś straszne makabryczne samoudręczenie.
Słyszy z daleka, jak ziemia z głuchem uderzeniem pada na trumnę.
A potem zwolna wszyscy się rozchodzą. Jeszcze parę osób — rodzina — stoi przy grobie. A dalej z boku — ona.
Wreszcie i ci odeszli. Została sama z Irką.
Wtedy podeszła do grobu. Uklękła. Z ust jej wydarł się zdławiony krzyk pełen bezbrzeżnej rozpaczy: „Stefan!" i zemdlona runęła twarzą na świeżo ubitą ziemię, z rozkrzyżowanymi ramionami, jak gdyby nimi chciała objąć mogiłę, przycisnąć do serca.
Nie wiedziała nic o tym, jak Irka z trudem podniosła ją z ziemi, jak przyszedł jakiś pan i zaniósł ją na rękach aż do taksówki. Tam ja posadzili. Przyniesiono wodę, jakieś krople.
Pamięta jak przyjechała z Irką do domu, jak Irka dała jej napić się czegoś — i jak potem nie czuła nic — nic.
Spała długo twardym, mocnym snem, jaki daje narkotyk.
A potem przeszło dużo dni, dużo nocy spędzonych samotnie w straszliwej tęsknocie, rozpaczy, żalu.
Irka pisywała do niej często. Po jakimś czasie błagała ją w listach, aby nie przebywała tak ciągle i wyłącznie w samotności. Żeby poszła do znajomych, życzliwych ludzi.
Iga, ulegając tym prośbom, odpisała raz: „Spróbuję".
Stojąc przy przystanku tramwajowym, raptem usłyszała szybkie przyciszone słowa:
„Patrz, patrz... to kochanka Rolskiego, tego wiesz, co to się zabił w katastrofie..."
Zawróciła do domu.
Stroniła od ludzi.
A potem mijały lata. Czas kładł swój niezawodny balsam na ranę. Młoda natura odżyła. Wracało życie.
I przyszedł Roman Rolski.
Jak to być mogło?...

— — —

„Jestem Ksawery Rolski..."

Iga zerwała się z fotela. Był już zupełny dzień. Resztę nocy po powrocie z dancingu przesiedziała bez ruchu, zatopiona w księdze swojego życia.

(Ciąg dalszy na str. 473)

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

CIERPLIWOŚĆ!

Cierpliwość — uznana, od wieków zaleta,
Nie zawsze dziś wiedzie do celu człowieka.
Nie zawsze wytrwałość święci czynu miarę.
Cierpliwość — wytrwałość — to zalety stare.

Cierpliwością walczyć, to walka zbyt trudna,
Niemodna zaleta, bywa często nudna,
Więc zgubiona bez żalu, w gorączce pośpiechu,
Nie warta więc bywa nawet kpin i śmiechu.

A przecież, gdy takiej zalety nie stanie,
Cóż za życie będzie? — jakie poczynanie?
Do mety nie dojdzie żaden gracz cierpliwy,
tylko szybki w nogach, w łokciach dokuczliwy.

On wyprzedzi innych sprytem, przebiegłością,
Więc po cóż tu walczyć głupią cierpliwością?
Świat nieco zmieniony zalety swe gubi,
Dziś dawną zaletą rzadko kto się chlubi.

Maria Krawczykówna.

DOBRE RADY PANI ZOFII

CO NAM PISZE...

„Marzenka w Ameryce". Piszesz mi o sobie, swoich uczuciach i refleksjach, a także poruszasz sprawę, która obecnie emocjonuje cały świat. Jest to sprawa wrażych wystąpień zachłannych Niemiec.

Posyłasz mi nawet wycinek z gazety chicagowskiej, abym przedrukowała go na łamach „Krainy" dla zorientowania jej członków w akcji podjętej przez Was, Polaków w Ameryce, na rzecz dozbrojenia naszej armii.

Z braku miejsca nie zamieszczę go, ale za to z Twoich komunikatów dowiemy się, jak jesteście ofiarni.

Owszem, Droga Dziecino, ja również stwierdziłam na podstawie Twoich listów, że masz w sobie ogromny pęd do zdobywania wiedzy, i co ważniejsze, że go pilnie wzmacniasz. To chwalebne!

Tęsknisz do poznańskich lasów? Chętnie wierzę, jak wierzę i w to, że zawsze szczerze i gorąco kochać będziesz kraj macierzysty, co jest zresztą powinnością każdej Polki.

Sprawa administracyjna załatwiona.

Widokówki przysłałaś mi już — piękne jest Wasze Sioux-City.

Nie ma u nas prenumeratorki tego samego, co Twoje, nazwiska i ja pierwszy raz słyszę o tej Pani od Ciebie.

Dziecino, naturalnie, że i ja otrzymuję urlop, co zaś do pracy, to kocham ją bardzo i doskonale radzę sobie z wszystkim.

Komunikaty „Marzenki":

„Dziękuję i odwzajemniam pozdrowienia „Zymelce", „Blance" i „Słonecznej Jasieńce". Czy która z wyżej wymienionych Pań do mnie napisze? Proszę!

Pozdrowienia „Samotnej Włościance". „Wiedźmo z n. Debry"! Pani jest podobną do „Humorystki". Pozdrawiam.

„Humorystko", czy nie mam racji? A może to Ty Kaziu się kryjesz pod tym pseudonimem?

Halo, „Smutna i brzydka Irko"! Proszę napisać do mnie pierwsza. Zresztą, chłopcu się należy pisać najpierw. Wie Pani co? Czytałam w gazecie milwauckiej, że tam wyświetlano film pt.: „Dr. Wilczur". Widziałam też fotos z tego filmu. Potem w Chicago wyświetlano film osnuty na powieści pt.: „Rena, sprawa 777?... Szkoda, że go u nas tu nie wyświetlano. Czytałam w Polsce tę powieść. Wzruszająca. Koleżanka z Chicago pisała mi, że film ten był emocjonujący. Dużo takich filmów wyświetlają tutaj. Serdecznie Panią pozdrawiam.

Adamino Dałkowska z Chodzieży! Dziękuję Tobie bardzo za list. Uśmiałam się z tego „fatalnego uczucia". Napiszę Ci coś na ten temat, lecz na razie nie mogę. Słuchaj, czy znasz Marysię Byttnorównę w Chodzieży? Ktoś kto zna te nasze strony, przypadkowo mnie zapytał czy ją znam. A abonujesz „M. Powieści", lub jesteś obywatelem „Krainy"? Pod jakim pseudonimem? Wiesz, spodobał aś się tu komuś z Twego zdjęcia. Na razie tyle. Serdecznie Cię pozdrawiam. Marta.

Pozdrowienia P. Grzegorskiemu i „Indywidualiście"..

Napiszę Wam, Drodzy „Krainiacy", co czytałam w gazecie ostatnio. Otóż tak pisze redakcja Dz. Zw. w Chicago:

„Gdy czytamy list pisany drobną ręką 11-letniego harcerza Tadeusza Piata, z grupy 1333 Zw. N. P., mimowoli ogarnia nas wzruszenie. Kochany Tadzik, prawdziwie harcerska dusza, choć młode w nim serduszko, lecz Polskę bardzo kocha.. Oszczędził sobie w czasie postu przez wyrzeczenie się wszystkich przedstawień kinowych, dolara i 5 centów i pieniądze te składa na Polskę, aby się Hitlerowi zagrabić nie dała..

Szanowni Panowie: — pisze dzielny harcerz — ja niżej podpisany harcerz grupy 1333 Zw. N. P., uczęszczający w każdy poniedziałek na ćwiczenia grupy gminy 3-ciej, przysyłam ten maleńki datek na Polskę $ 1.05...

To wszystko com sobie oszczędził przez post, com nie poszedł na „show" przez cały post.. Szkoda, że nie jestem dość duży, żebym mógł pójść do pracy i zarobić i dać więcej, ale ja dopiero będę miał jedenaście lat. Jak uskładam więcej, to przyślę, do Z. N. P., a tymczasem tylko tyle, ile mam. Proszę bardzo przyjąć ode mnie ten datek. Kreślę się harcerskim: Czuwaj!

Tadeusz Piata
3010 W. Belden Avenue.
Chicago.

Halo, „Tajemniczy nieznajomy".. Proszę napisać coś o swoich przyjaciołach w Ameryce, a napiszę o sobie dużo.

Proszę podać też adresy. Czy zamieszkują w stanie Yowa lub Chicago? W ostatnim miesiącu będę w czerwcu.

Pozdrawiam.

„Humorystko" i „Elem n. Notecią". Ten Wasz liścik był kochany. Jak tam teraz nad Notecią? U nas obecnie jest pięknie.. Przyroda budzi się do życia. Najcudowniej jest przy wschodzie i zachodzie słońca.. Wtenczas doznaje się uczucia, że należałoby żyć wiecznie.

Ale wiesz Kaziu, czego brak tylko? Brak lasów. Odczuwam ten brak lasów dotkliwie, bo tak je ukochałam bardzo — szczególnie zaś sosny, brzozy i deby. Tak pragnęłabym tam na wiosnę pójść do lasu i zaczerpnąć tego tak świeżego i zdrowego powietrza. Ale niestety, mieszkam w hałaśliwym ruchu i dymie mieiskim, a w naszym kochanym, nawet całym stanie Yowa nie ma lasów, jedynie mamy śliczne duże parki. Dlatego też, mam stale przed oczyma wizję naszych polskich lasów. Szkoda jednak, że nie mogę Ci opisać obszerniej wszystkiego — bo naprawdę jest o czym pisać! Staram się jednak, aby jak najprędzej wkuć wszystko potrzebne w tym kraju. Ach, a potem. Ba! Potem, będę mogła pisać obszerne i ciekawe listy.

Słuchaj, na ostatnim zdjęciu ślicznie wyglądasz, lecz trochę poważnie. No, ale to już zwykle każda „house-lady", która jest na swoim „Wirtschaft" — prawda? Na razie tyle.

Pozdrowienia dla Twej „drugiej połowy", wszystkich w domu i znajomych. Ciebie zaś ściskam serdecznie — Marta.

Halo! „Wesoła Tusiu spod Grudziądza" Dziękuję Pani, za miłe słowa i proszę do mnie napisać i podać, w jakim Stanie ma P. krewnych? Odpowiedź pewna. Mile Panią pozdrawiam.

„Dzinka". Proszę przyjąć uznanie za swój piękny wiersz pt.: „Kocham cię ziemio wielkopolska".. Piękny! — Czy mieszka Pani w poznańskim? W jakiej miejscowości?

Pozdrawiam!

„Łobuz w spódnicy". Podoba mi się Pani. Czy mogłaby Pani rozkazać swym paluszkom napisanie listu do mnie? Proszę i pozdrawiam Panią!

„Amerykanin". Owszem, tematu było by dość. Proszę napisać do mnie. Pierwsza do mężczyzn nie piszę. Czy jest Pan urodzonym w Ameryce, lub może obywatelem tej ziemi Washingtona? Czy już zapomniał Pan angielszczyznę, czy jeszcze Pan nią włada? Jeżeli tak, może moglibyśmy korespondować w języku angielskim, choćby dla obustronnej krytyki, a może nauki — gdyż sądzę, że mogłabym już podtrzymywać korespondencję w tym języku.

Halo „Krainiacy"! Czy ktoś z Was zna P. N. Primusównę, która prawdopodobnie zamieszkuje w okolicy Łopienna lub Nakła?! Uczęszczała do Szkoły Wydzia owej w Gnieźnie A może ta P. Primusówna figuruje w „Krainie", jeżeli tak, prosiłabym o napisanie do mnie kilku słów. Odpowiem na pewno. Pa!"

KOMUNIKATY ZBYT LICZNE

„Rabuś". Odpisuję na trzy Twoje listy. Najpierw odpowiadam Ci pobłażliwym uśmiechem na projekt założenia klubu starych panien, następnie zawiadamiam, że koleżankę Twoją przyjmę do grona krainiackiego.

W sprawach prenumeraty radzę zwracać się do naszej administracji.

Teraz omawiam następne dwa listy. Wybij sobie proszę z głowy te dziwne myśli i żyj pogodnie, jak powinien żyć każdy poczciwy młody człowiek.

Uśmiałam się z opisu Twoich perypetyj sztubackich.

Komunikaty zbyt liczne, więc je likwiduję, zamieszczając tylko najważniejsze.

„Ro bij it". Może nie masz kompana? „Rabuś" do tego w sam raz — w dodatku mieszkamy w jednym mieście.

„Krainianki" i „Krainiacy" ze Żnina, Gąsawy i ich pobliża — w drugiej połowie sierpnia będę w Oćwiece — może się poznamy?

A. K. Bydgoszcz. Aneczko pisać pod adres: Bydgoszcz, Gdańska 86 Skład delikatesów „Dla Rabusia". Cioteczka doręczy mi listy.

„Anta-Nina". Potępiam Twój projekt co do umieszczenia fotek p. Zosi i Wujka Janusza! Tak będzie lepiej. Niech zostaną dla nas tajemnicą.

„Czarny Saturnie" i „Rudi 220—380" — czy jesteście jeszcze w „Krainie"?

„Czarny Hajduczku", czy jest Pani może mielżynianka? Ciekawam.

„Waldy", może zrobi Pan kiedyś maleńki wypad do Bydgoszczy?

„Smutna dziewczynko znad Gopła". Całuję Twoją słodką buzię. Koleżankę, o której Pani wspomina, znam osobiście. To siostra „Marzących oczu" — prawda? O ile będzie Pani w Bydgoszczy, owszem, możemy się poznać. Adres pozostawię u koleżanki.

„Marzące oczy". Dlaczego Pani milczy? Wtargnęłyśmy wówczas z takim humorem, może gniewa się Pani? Pa i ucałowanie buzi od „Wesołej Janeczki z Bydgoszczy".

„Luteńko", ja czekam. Przesyłam całe wagony słonecznych uśmiechów.

„Młody Orle", nie zawsze chcieć, znaczy móc. Ja chciałabym. Czy jednak uda się? Przesyłam przyjacielski uścisk dłoni!

„Błędny Ogniku"! I Tyś wojakiem? Serdecznie pozdrawiam.

„Ziuku z Bydgoszczy", dlaczego nie warto? Ale jestem upartą i tak wyśledzę. Pa! na tymczasem pa!

„Czarnulka znad Noteci". O ile będziesz w Bydgoszczy, odwiedź mnie proszę.

„Biały Puszek". Teraz już nie jestem smutna. Całuję słodką Twą buzię.

„Uluta". Ktoś Ty? O ile się znamy, może przypomnisz? A może znasz mnie z Zakopanego z „Atlasu"? Pa! i czekam.

„Belfer". Czy to Pan S. R. z B.? Ciekawam.

„Pellu", czy byłeś? Pozdrawiam!"

DLA ZDROWIA...

„Młody Las“. Czy dużo spacerujesz, korzystając z wiosennego powietrza? Pogoda ostatnio dopisuje, więc staraj się ją wykorzystać jak najlepiej dla zdrowia.

Wierzę w ten „żelazo-beton“, bo przekonałam się już, że jesteś słowną dziewczynką. Dziś odpisuję na dwa Twoje listy. Z Targów wywiozłaś miłe wrażenia — to ładnie! Łączę pozdrowienia.

„Łobuzie w spódnicy“! Znamy się. Nie wiesz kim jestem? Przypomnij sobie imieniny Marylki. Czy już wiesz? Bądź zdrowa!

„Maruto“ — serdecznie dziękuję za życzenia. Coś długo każesz czekać — niecierpliwię się.

„Stepowy Płomień“ — prawdopodobnie znamy się. Czy jesteś W. A. z K?. Pozdrawiam.

„Czarnobrewa“. Czy nie zechciałabyś się ze mną zaprzyjaźnić?

„Nieszczęśliwa Ninusia“. Uśmiechnij się do słońca i ludzi. Czy załatwiłaś wszystko pomyślnie?

Może napisze do mnie ktoś z Poznania, dobrze? Mieszkam niedaleko — możemy się więc poznać.

Pozdrawiam: „Pell'a“, „Serce Śląskie“, „Smutną Dziewczynkę znad Gopła“, „Smutną i Brzydką Irkę“, „Białą Uajali“, p. E. Z. z Ino. „Szczęśliwą 13“, oraz całą „Krainkę“ i przesyłam wiosenne uśmiechy“.

KOMUNIKATY „STAREGO WOJAKA“

Dziękuję serdecznie za miłe pozdrowienia „Szukajacemu Dziewczątku“, „Łobuzowi znad Wisły“ oraz „Czarnulce ze Świecia“. Również dziękuje za pamięć Luśka.

„Yoshimura“. Znam Pana. Na imię Panu Tadek i mieszkasz w Gdyni. Czy tak trudno odgadnąć, kto ja? Pozdrawiam.

„Zuch Dziewczyna“. Ja też jestem zuchem niekiedy. Czy mieszkasz w Łodzi?

„Barcia“. Słyszałem od kogoś dużo dobrego o Tobie. Gdybym był........ odważyłbym się.

„Czarny Hajduczek“. Podobasz mi się, ale nie napisze, bo dostałbym kosza.

„Złoty Dzwoneczek“ i „Helusieńka“! Nie, nie, stanowczo nie! Spiekłbym raka! Wolę pozostać więc w cieniu. Por. Helo knuje na „kogoś“ straszliwą zemstę. Janeczko, śmiać mi się chce, że dotychczas nikt nie odgadł.

„Mała Konwalijka“. Znam Cię doskonale, Staszko. Napisałbym, ale jestem taki nieśmiały!...

„Dziewczę z Dalekiej Ojczyzny“ i „Marzące Oczy“. Chylę czoło! Ślicznie Panie wyglądają. Serdecznie pozdrawiam.

„Księżna Czardasza“. Kto ja? Podobno jestem identyczny z B. Pozdrawiam Cię, Ty Słonko Małe!

P. Marysia J. Kr. Wiesz Kochana, w nowej roli czuję się zupełnie dobrze, tylko brak mi kogoś drogiego. Ukłony dla Mężulka.

Pozdrawiam serdecznie mego kuzyna porucznika rezerwy Mikołaja T. w Sielcu i... mam żal, że nie pisze. Dużo pozdrowień również pp. por. rez. Stanisławowi i Józefowi Karwackim, E. Kosińskiemu, oraz „Szukającemu“.

Uśmiechy ślę Basi ze Żnina, „Ferdy'emu“, „Młodemu Orłowi“, „Słowiance“, p. Stefci Wesołkównie, „Śniaduli“, „Grażynie“. Zaś rychłego osiągnięcia celu życiowego p. Heli Pok. z G. a na koniec dużo radości i zadowolenia życiowego „Paddy Incognito“. Znam Cię, śliczna, kochana J.

Pamiętajcie „Krainiacy“ o „Starym Wojaku“.

WINSZUJĘ!

„Lucyna“. Winszuję Ci z racji zdania egzaminu. Adres Twój uzupełniono. Należność za prenumeratę możesz przesłać przekazem zwykłym lub rozrachunkowym na adres: „Moje Powieści“ — Żnin Wlkp.

Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam komunikaty:

„Obserwator 1“. Ej, to brzydko, obiecać, a nie napisać. Myślę, że już teraz Pan napisze — prawda? Adres u P. Zosi. Pa!

„Waldy“, masz ciekawy pseudonim — może napiszesz? A może zawitasz do Lwowa? Warto naprawdę.

„Stary Wojak“. Czy Pan naprawdę taki „stary“? Mam ochotę z Panem korespondować, może Pan skrobnie pierwszy?

„Podchorąży z Grudziądza“. Czy jest Pan zawodowym? Jeżeli tak, to niech Pan napisze do mnie, chcę o coś zapytać. Śliczne Pa!

A może ktoś się wybiera do Lwowa, chętnie pokażę mu „mój“ śliczny Lwów. Pozdrawiam wszystkich — taka „mikruska“ ze Lwowa

„Lucyna“.

APEL

„Rowerzysta“. Przyjmuję Cię do „Rodzinki“ i poniżej zamieszczam Twój apel w formie nieco zmienionej.

„Halo! Przybywam do „Krainy“ jako nowicjusz, więc na wstępie pozdrawiam wszystkie jej członkinie i wszystkich członków i przedstawiam się oficjalnie.

Jestem blondynem wzrostu średniego — 1,68 m. — więcej już zapewne nie urosnę, bo mam lat 28. Pracuję w charakterze rzemieślnika w państwowym zakładzie spożywczym. W czerwcu otrzymam urlop, który chętnie spędziłbym na łonie natury. Może ktoś z Was użyczyłby mi gościny u siebie? Bardzo byłbym wdzięczny!

Panie Mieszku Grzegorski! Prześliczne są Pana wiersze. Ściskam mocno prawicę!

Wiersze p. „Bianki“ również podobają mi się. Proszę przyjąć pozdrowienie.

„Czarownica z debry“. Wiersze ładne, a autorka jeszcze bardziej. Całuję łapki.

Wszystkim serdeczności!“

WKRÓTCE!

„Królowa Gizella“. Bardzo jesteś dobra, Dziecino, i wdzięczna Ci jestem za wszystkie twoje serdeczne słowa. I wzajemnie ja życzę Ci, aby obecny Twój dobry nastrój trwał zawsze.

Nadesłane ostatnio zdjęcie przeznaczyłam do reprodukcji w „Krainie“ — ukaże się wkrótce. Jak z Twoją posadą, Dziecko?

Łączę serdeczności i zamieszczam komunikaty:

„Małej Jasieńce“ dziękuję bardzo za pamięć, i oznajmiam, że również serdecznie ją pozdrawiam. Prosiłaś mię Dziewczynko o list, a ja mogę na to tylko to powiedzieć, że mam więcej jak 19 lat, i wątpię czy wymiana listów dałaby nam zadowolenie.

W każdym razie przesyłam śliczne pa!

„Dyktatorowi“ oznajmiam, że chyba w liście dość jasno wytłumaczyłam wszystko, i o dotrzymaniu słowa w tym wypadku mowy być nie może. Jeżeli zaś chodzi o moją podobiznę, to myślę że zobaczy ją Pan prędzej niż się tego spodziewał. Niech Pan dobrze o mnie myśli, zgoda? Serdecznie Pana pozdrawiam.

„Biały Wrzos“. Śliczny jest Twój wiersz p. t. „Ciche refleksje“. Życzę dużo powodzenia w tym kierunku. Również wiersz p. E. Halma-Tna pt. „Błogosław Boże“ szczególnie mi przypadł do serca. Dziękuję Panu za niego. Proszę niech Pan przyjmie ode mnie dużo, dużo pozdrowień.

„Łobuz w spódnicy“. Dziękuję, Ci Hanuś za zaproszenie. Być może, że skorzystam, nie wiem tylko kiedy. A dlaczego, to już wiesz, prawda? Wszystko zależy od tego, jak się sprawy ułożą. Całuję Cię siarczyście i życzę dużo zadowolenia w korespondencji.

„Zrównoważony Jaś“. Nie gniewam się na Pana, a list owszem, może Pan napisać, ja chętnie odpowiem. Adres mój, jak dawniej, na pewno Pan go znajdzie. Za miłe pozdrowienia dziękuję i przesyłam Panu uśmiech majowy.

„Błędny Ognik“. Tak chętnie chciałabym z Panem przeprowadzić szermierkę słowną. Czy zgodzi się Pan na to? Jeśli tak, proszę do mnie napisać. Miłe Pana pozdrawiam.

Poza tym pozdrawiam całą „Krainę“.

KOMUNIKATY WYPISYWAĆ JEDNOSTRONNIE

„Arianka“. Owszem, szkodzi, że komunikaty umieściłaś po obu stronach kartki — na przyszłość niech będą wypisane jednostronnie.

Dziękuję za zapewnienie sympatii, którą już oddawna podzielam. Miej się dobrze i pisz!

„Iruśko“, ale rugnęłaś mnie i za co? Nie piszę bo mam moc pracy, no i jeszcze coś mi przeszkadza!...

Pozdrowienie Markowi i Marychowi.

„Iriszko z Jarocina“, czekam niecierpliwie wizyty, wybieramy się na dworzec z wielką paradą — przyjeżdżaj!

„Ulula“. Przyjmij koleżeńskie pozdrowienia od „po fachu“ — może napiszesz?

„Wilnianka“. Prawdopodobnie pójdę za Twoim przykładem. Pozdrawiam. Napiszę obszernie na ten temat.

„Chochlik“. Wkrótce poślę ci bardzo ładne poleskie ręczniki i list. Całuję Cię i przepraszam, że nie odpisałam.

„Franco“. Może napiszesz, obiecałeś przed odjazdem. Pozdrawiam!

„Może kto z „Krainiaków“ napisze — odpowiedź pewna“.

Wszystkim „Krainiankom“ i „Krainiakom“ pracującym w „branży pocztowej“ koleżeńskie pozdrowienia!“

KOMUNIKATY SKRÓCIŁAM

„Niesforna Lulu“. Umiesz Ty rozumować logicznie — trzeba Ci to przyznać. W ogóle jesteś w równym stopniu mądrą, jak czarującą kobietką i kpem byłby ten, ktoby się na Tobie nie poznał. Myślę, że jeszcze doczekam się chwili, która opromieni Cię wielkim, przejasnym uśmiechem.

Posyłam Ci uścisk dłoni.

Komunikaty (nieco skrócone):

„Pozdrawiam „Samotnego S.“, „Chochlika“; „Przylepkę“, „Kleopatrę“ i „Taką sobie Haline“. Proszę o pamięć mieszkańców pow. kieleckiego, pińczowskiego i stopnickiego.

„Szukający“. nie dotrzymałeś słowa — nie napisałeś nic, chociaż to już wiosna. Czy może ostatnie wypadki.. natury nieco delikatnej, bo pachnącej germanizmem — wpłynęło na to?

„Uśmiech Szatana“, „To-ja“, „Jadwiga Limba“ — czy zechciałybyście napisać do mnie?

„Miłośnik szarad“ — proszę — napisz do mnie. Odpowiem na pewno.

„Zadzior“! Byłabym naprawdę mocno, mocno uradowana, gdyby Pan do mnie napisał. Więc?

P. Eleonoro Klidziu! Czy można panią prosić o napisanie listu? Chciałabym z Panią pogawędzić — czuję, że mamy nieco podobne podejście do życia.

„Uran“ i „Ikar IV“. Uznanie mam dla twórczości Panów.

Całej „Krainie“ serdeczności.“

„STELLA“ I „ROZEŚMIANE OCZY“ WPŁACIŁY RAZEM ZŁ. 5.

„Roześmiane Oczy“. Dobrze, że mi nadmieniłaś, iż na łańcuch składkowy wpłaciłyście razem z Siostrą „Stellą“, gdyż w łańcuchu wymieniłam tylko „Stellę“.

Powiedzież Ci, z którą panią masz korespondować? Dzieciaku, zrób apel, a Panie same dostarczą Ci wyboru.

Chwali Ci się, że ukończyłaś kurs ratowniczo-sanitarny i to z wynikiem bardzo dobrym. Oby więcej naszych „Krainianek“ zechciało pójść w Twoje ślady!

Łączę serdeczności.!

Komunikaty:

„Cierniowa dola“. Dlaczego tak pełen smutku wybrałaś sobie Pani pseudonim? Czy naprawdę tyle cierni w życiu Pani. Niech Pani przyjmie bardzo serdeczne pozdrowienia.

„Chochlik“. Podobasz mi się, masz tak beztroski uśmiech na buzi. Pa!

„Smutna i brzydka Irka“ i „To-ja“. Śliczne są Wasze wiersze, kochane dziewczynki. Zazdroszczę Wam talentu.

„Luteńka“. Jesteś moją imienniczką. Przyjmij całusy i pozdrowienia.

„Bianka“. Świetny pomysł zrodził się w Twej główce. Nic dziwnego, zawsześ pełna życia i werwy.

Krainianki-cy! Może ktoś z Poznania lub okolicy ma chęć poznania się ze zemną? Służę swą wielką osobą (jestem wysoka), a mam wrażenie, że rozczarowania nie będzie. Czy będzie wreszcie ktoś, kto zwróci uwagę na „Roześmiane Oczy“?“

DLACZEGO?

„Safo“. Odpowiadam na wszystkie Pani listy, Droga „Safo“. A czynię to dopiero teraz, gdyż chciałam odczekać chwili, w której będziemy już mogli dać definitywną odpowiedź w sprawie nadesłanej nam powieści. Odpowiedź ma już Pani — prawda? Przy okazji nadmieniam, że „Serce Cygana“ przeczytałam ja i jeszcze jeden pan z kompetentnego personelu redakcyjnego, aby ocena nie została wydana pobieżnie.

Proszę mi donieść, czy uda się Pani zrealizować projekt wyjazdu do Francji — życzę Pani szczerze, aby wszystko ułożyło się po Jej myśli!

Czemu to zamierza Pani wystąpić z „Krainy“? Trudno uwierzyć mi, abyś nie mogła w niej znaleźć szczerej przyjaźni, wszak tyle jest

w „Rodzince" pań szlachetnych i inteligentnych!

Wierszyki Pani oceni Wujek Janusz w swej „Teczce". Te wierszyki, które uważała Pani za zaginione, miały już ocenę, o ile się nie mylę, w nr. 11/39 r. W każdym razie wręczyłam je ponownie Wujkowi Januszowi. Co do noweli, to naturalnie, że może ją Pani również przesłać do przejrzenia.

Egzemplarze okazowe wysłaliśmy na podane przez Panią adresy.

Również dla Pani przesłaliśmy, w myśl wyrażonego życzenia, okazowe numery naszej gazety.

Łączę serdeczne pozdrowienia i oczekuję dalszych wiadomości o Drogiej Pani.

Komunikaty:

„Amerykanin". Nie powiem, że feleton był morowy (bo byś urósł w dumę) ale — taki sobie. Zachodzi jednak pewne powikłanie z ową lutnią, mianowicie: ...„Nowa a mało używana". Jak to rozumieć? Jeśli nowa, to nie używana, a jak używana, to stara! Nie znam się wprawdzie na lutniach ani złocie, wiem tylko, że czasem firmy zagraniczne reklamują szumnie prawdziwe — falsyfikaty. (Nie piszę tego broń Boże do Pana) kupuje się czasem „okazyjnie" coś wartościowego, by za chwilę usłyszeć stereotypowe słowa rzeczoznawcy: No good! Co do lutni — to może jest i na odwrót, a może i nie! Nie przeczę ani twierdzę, chociaż... jest ryzyko i tak i tak! A nie było by lepiej ofiarować ją komuś gratisowo? Jeśli jest zrobiona ze szlachetnego kanadyjskiego platanu i posiada prawdziwe szczerozłote struny — hm... to jest istotnie wartościowa. W takim razie... mam pewną myśl... Już Pan zgadł? ...i wypełnił! Ślicznie! Wobec tego nie pozostaje mi nic innego tylko wołać spontanicznie: Brawo! Gdyż jest to czyn nie tylko pro publico bono, ale i... pro patria, wszak Ojczyzna w potrzebie!

„Lucet". Przedziwną sympatię czuję do P. Gdy czytam Pani pseudo (krainiackie) to w myśli dodaje zazwyczaj: Lux in tenebris.. Czy to Pani się kryje pod inicjałami M. T., które widniały nad... „manewrami", wie Pani o czym myślę — prawda? Może podamy sobie dłonie przyjaźni! Zdaje mi się, że miałybyśmy dużo, dużo wspólnie nas interesujących tematów do omówienia, gdyż posiada Pani w sobie dużo zagadnień psychologicznych. Rezygnuje Pani z dyskusji? Nie radzę Pani tego czynić. Moim zdaniem członkowie „Krainy" powinni sami domagać się urozmaicenia w postaci intelektualnej dyskusji, same komunikaty nie są wystarczające. Zresztą — niech Pani, Zosieńka tu rozstrzyga. Dziwię się, wszak „Kraina" jest tak liczną a tylko jeden głos wpłynął za dyskusją. Czemu to przypisać? Chyba temu, że nie wszyscy wyszliby z tej dyskusji zwycięsko. Mimo tego, niech Pani zaczyna — zobaczymy, co powie „Kraina". Łączę miłe pozdrowienia!"

ADRES ZNAM TYLKO JA

„Lillavati". Naturalnie, że pseudonim może być oderwany od pojęć i cech związanych z Twoją osobą. Co do życzonych adresów, to zawiadamiam Cię uprzejmie, że z zasady nie podaję adresów członków „Krainy" do wiadomości osób postronnych, choćby nawet pytający był również członkiem „Krainy". Adresy pozostają do wyłącznej wiadomości mojej i na tym koniec.

Pozdrawiam Cię serdecznie, Miła Dziewczyni zamieszczam komunikaty:

„Niesforna Lulu" — czy miałaby Pani ochotę nawiązać ze mną korespondencję? Bardzo chciałabym poznać Panią bliżej. Dobrze?

„Długas", przesyłam moc pozdrowień. Może Pan napisze do mnie pierwszy? Ja jakoś nie mam odwagi. Sądzę, że nie spotka mnie zawód i w najbliższym czasie otrzymam od Pana parę słów.

Halo! Halo! Czy ktoś z „Rodzinki" zna Hermana Zaklewskiego? Jeśli tak, to proszę o wiadomość".

OD CZASU DO CZASU

„Jachciczanka". Przyjmuję Panią do „Krainy", życząc powodzenia. Proszę od czasu do czasu napisać mi trochę o sobie, a na razie zamieńmy życzliwy uśmiech. Pa!

Halo! Niech piszą do mnie opuszczeni i smutni — wszystkim chętnie odpowiem.

O pamięć apeluję do wszystkich z Poznania.

Pozdrawiam „Belfra", „Wytwornego Włóczęgę" i całą brać krainiacką"!

MIESZKASZ W PIĘKNEJ OKOLICY

„Wykrzyknik". Dowiaduję się z Twego listu, że mieszkasz w pięknej okolicy, możesz zatem urządzać spacery i wycieczki, co daje ogromne zadowolenie i jest pożyteczne dla zdrowia.

Czy zaprzyjaźniłaś się już z członkami naszej „Rodzinki"?

Posyłam Ci życzliwy uśmiech i przechodzę do komunikatów:

„Łobuz znad Wisły", może coś skrobniesz do mnie?

„Serce Śląskie". I ja także mieszkam na Śląsku, napisz, a dowiesz się gdzie.

„Wilnianka". I Ty się odezwij do mnie, a otrzymasz długi list.

„Szczęśliwa B". Mieszkam tylko parę klm oddalonych od Chorzowa, napisz.

„Amneris". I ja jestem nowo przyjęta do „Krainy", i nawet w tym samym lecie, może się pogodzimy, skrobnij, odpowiedź murowana.

Kto ma ochotę, niech pisze domnie, za odpowiedź ręczę głową. Dla wszystkich sympatyków „Krainy" miły uśmiech".

SŁUCHAJCIE!

„Armeńczyk". Więc zadeklarowałeś na F. O. N. złotych 10 w ratach. Pierwsza rata w kwocie 2,50 zł. Jesteś chłopcem nie tylko ofiarnym, ale i rozgarniętym — nie mogąc od razu wpłacić zaofiarowanej kwoty, podzieliłeś ją sobie na raty, ale dasz i to jest najważniejsze!

Numer życzony przesłała Ci nasza administracja, jak również załatwiła sprawę prenumeraty „Mojej Przyjaciółki".

Łączę pozdrowienia.

Komunikat:

„Rodzince" przesyłam ze stolicy moc serdecznych pozdrowień. Adres: Warszawa 2, poste-restante.

MIEJ SIĘ DOBRZE!

„Aloha". Na przyszłość nie przerywaj z nami kontaktu na taki długi okres, Smyku Mały! Cieszy mnie, że zdrowiu Twemu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. „Moją Przyjaciółkę" zamów w ten sam sposób, jak „Moje Powieści". Miej się dobrze i pisz!

„Halo p. A. Jabłoński, po tak miłym pożegnaniu były naprawdę sny przyjemne.

„Zawiedziony". Kiedy znowu będziesz w Poznaniu, bo przyznasz, że ostatnio było przyjemnie. Pozdrawiam.

P. Bolesław Pyszny ze Śląska, cóż u Pana? Proszę o zwrot fotografii, dlaczego, wiesz! Przyjmij dużo uścisków.

„Latorośl Kaszubska". „Ktoś" zasyła pozdrowienia i ja również.

„Armeńczyk". Zaciekawiasz mnie, pozdrawiam. Skrobnij!

„Henry"! Cóż u Pana, chciałabym się zrewanżować, ale brak odresu staje temu na przeszkodzie.

„Solidny II.". Pozdrowienia i uśmiechy zasyła ktoś bliski.

Dużo serdeczności całej „Krainie".

ILE SERCE ZAPRAGNIE

„Rajski Ptaszek". Jakże tam z ową kolonią i Twoimi odwiedzinami? Czekam na nie. Pisz, ile serce zapragnie — tylko komunikaty skracaj do minimum.

Serdecznie ściskam Ci łapki.

„Maleńka Li-Lea". Ślę Pani moc pozdrowień aż hen, za morze!...

„Koralowe Usta". Jesteś sztubaczką? Serdecznie współczuję.

„Amneris". Ładny obrałaś sobie pseudonim Pozdrawiam.

„Wesoła Fala". Czy jesteś naprawdę wesoła? Oi i ja również.

„Zielone Oczy". Tadzikowi zielonookiemu „Rajski Ptaszek" śle dużo, dużo pozdrowień.

„Przybłęda Leśny". Znam Pana, ale swego incognita nie zdradzę. Pa!

„Ziuk z Bydgoszczy". Zaintrygował mnie Pan. Któż to Panu naopowiadał o mnie tyle dobrych rzeczy? Proszę nie wystawiać mojej ciekawości na próbę. Pozdrawiam.

P. Zbigniew Wicherek. Już Pan nie czeka, prawda?

„Tyrana" pozdrawiam.

„Ikar IV". Ktoś, kogo Pan zna, mówił mi dużo o Panu.

Całej „Kraince" dużo jasnych, beztroskich uśmiechów przesyła „Rajski Ptaszek".

JAK SERCE DYKTUJE

„Donia". Och, możesz sobie pisać do mnie, jak Ci serce dyktuje, a co do mnie, to będzie mi miło czytać, jak zwykle, Twoje kochane liściki.

Przyjmij ciepłe pozdrowienia.

Komunikaty:

„Pell". Jako starszemu „Krainiakowi" — oddaję Panu pierwszeństwo. Obiecuję zaraz odpisać. Dobrze? Śliczne pa łączę i czekam.

„Przybłędo Leśny". Jeżeli zechcesz i znajdziesz chwilę czasu, to napisz proszę do małej dziewczynki leśnej.

„Rozbójnik". Proszę napisać do mnie, a odpowiem dużo i odwrotnie. Czekam z ogromną niecierpliwością. Gdybym wiedziała, czy Pana ucieszy list, to napisała bym pierwsza. Pa!

„Wołyniaka" proszę o przyjęcie najmilszych uśmiechów i list. Bo, moglibyśmy się spotkać, gdyż mieszkam pod Lwowem.

„Fred", „Wit", „Kazik", „Kresowiak Zachodu", „Blady Kwiat", P. Zbigniew Wicherek, „Zawiedziony" — proszę Panów o kilka słów, na które na pewno odpowiem.

Całej „Rodzince" — która coś boczy się na maleńką „Donię" najlepsze myśli i najładniejsze uśmiechy załączam, z prośbą o pamięć!"

INTRYGUJE MINE

„Wesoła Marietta". Hmm... niesłychanie intryguje mnie ten „ktoś", osobę którego zakonspirowałaś tak dokładnie. Napisz już szybko ten przyobiecany list z wyjaśnieniem! Czekam!

„Krater II". Jak się czujesz? Czy jeszcze ciągle masz dużo pracy! W wolnych chwilach pomyśl o mnie. Zasyłam pozdrowienia.

„Wesoła Nadyni". Znamy się — prawda! Całuję Cię.

„Wiedźma z debry". Imponujesz mi. Napisz do mnie, na pewno odpowiem.

Kaz. Junoszyc. Śliczne są Twoje wierszyki, kochany chłopczyk z Ciebie. Proszę Cię napisz i dla mnie wierszyk choćaż zupełnie maleńki. Pozdrowienia.

Iylli O. i Władzio S. Pozdrowienia od kogoś, kto Wam figle płata.

Ponadto zasyłam pozdrowienia „Maleńkiej „Hali", „Białej Ujali", „Tyranowi", „Zadziorowi, „Jadwidze Limbie", „Jerychonce" i Belfrowi. Wszystkim innym Sympatykom miłe pa!."

RADA JESTEM...

„Mała Mysia". Sprawę tygodnika załatwiła nasza administracja.

Pamiętam o Tobie, lecz rada jestem każdemu przypomnieniu w postaci miłego listu. Życzę Ci wielu radości i zamieszczam komunikaty:

„Rzymianin". Dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam. Ciekawa jestem, kim jesteś, może Cię znam? Skrobnij do „Małej Mysi" liścik, odpowiedź murowana.

„Gałązka świerku" i „Sosenka" przyjmijcie pozdrowienia.

Dla „Zawiedzionego", „Ejgo-Ejgo", „Niesfornej Lulu" i „Zoleńki" milutkie pozdrowienia.

Dla całej „Rodzinki" wagon uśmiechów.

BĘDZIE ZALEŻAŁO OD WYDANEJ OCENY

„Pan Twardowski". Donoszę Ci, że wszystkie wierszyki oddałam Wujkowi Januszowi do teczki. Ocena ich ukaże się w jednym z przyszłych numerów. Jeżeli Wujek uzna między innymi i ten poświęcony „Krainie" za dojrzały do przedruku, zamieszczę go bardzo ciętnie.

Serdecznie dziękuję Ci za ten śliczny obrazek Madonny z Dzieciątkiem — towarzyszy mi on przy pracy w redakcji i często ściąga mój wdzięczny wzrok.

Przyjmij przyjazny uścisk dłoni!

PRZY OKAZJI

„Wołyniak". Zmianę adresu zanotowałam i dziękuję za to, żeś mi o niej doniósł. Przy okazji zapytuję, jak Ci się powodzi na kursie? Życzę Ci wszelakich pomyślności!

Komunikat: Serdeczne pozdrowienia przesyłam „Krainiankom" i „Krainiakom" oraz zawiadamiam „Krainianki" z Warszawy, które rozporządzają czasem i mają dobrą chęć, niech zadzwonią pod. nr. tel. 10.44.39 do Gołędzinowa, a chętnie odwiedzę je, względnie w inny sposób skomunikuję się z nimi".

WPŁYNIE SPORO GROSZA

„Stella“. Odpisuję na dwa Twoje listy. Owszem i ja spodziewam się, że sporo grosza wpłynie na Fundusz Obrony Lotniczej od naszej „Rodzinki“.

Co do Twej prośby w sprawie — wiesz kogo — to spełniliśmy ją, „Moje Powieści“ będą odtąd stałym gościem w jej domu. Muszę przy okazji pochwalić Twoje dobre serduszko i.... poprzestaniemy na tym.

Dziękuję Ci również za cały kochany list życzeniowy. Aha! Jeszcze jedno Twoje zapytanie wymaga odpowiedzi: nie jestem matką, więc nie mogłam otrzymać życzeń w Dniu Matki. Bywaj!

BO...

„Pensjonarka“. Przyjmuję Cię do „Krainy“ pod pseudonimem „Pensjonarka“, bo nie podoba mi się określenie samotna.

Życzę Ci powodzenia w naszym gronie i oczekuję następnego listu!

„Samotna Dusza“. Ściskam Cię do uduszenia.

„Młody Orle“ — chciałabym z Tobą wymieniać myśli, może napiszesz mi mały liścik?

„Sztubak spod lasu“ — może skrobniesz do mnie jesteśmy kolegami po fachu.

„Szyderca“. Czy naprawdę z wszystkich szydzisz, chyba nie?

„Koralowe usta“, proszę o parę słów“.

TECZKA wuja Janusza

NIEZROZUMIAŁY RYM...

„Tęsknota z gór“. Odpowiedź na pierwszy list znalazła się, prawda? Zatem przystępuję do drugiej z kolei odpowiedzi. Wiersz „Wiara“ jest pełen dynamiki i ducha, jednakże ostatnia zwrotka zawiodła. M. in. jest dla mnie zupełnie niezrozumiały rym w przedostatnim wierszu. Do „Krainki“ przyjęła Panią P. Zofia, co do „Teczki“, to też już Pani do niej należy!

PROSZĘ POPRAWIĆ SIĘ!

„Niesforna Lulu“. Wiersz — „Odeszłam“ — napisała Pani albo jednym tchem, albo też bez najmniejszej uwagi. Proszę, niech Pani porówna rym trzeciej i piątej zwrotki z rymami innych zwrotek, a przekona się, że słowa moje nie są bez racji. Cóż z tego, że myśli Pani są ładne i szlachetne, kiedy lekceważy Pani rzecz bardzo doniosłej wagi — formę utworu. Proszę poprawić się, Droga „Lulu“, gdyż w przeciwnym wypadku przestanę wierzyć w Pani chęci udoskonalenia się.

BŁĘKIT OCZU TWOICH...

Nad oczu twych przecudnym błękitem
Chylę kwiat szkarłatny —
moich ust pragnienie..
Cichych, subtelnych pieszczot —
czar i upojenie..
Nad przecudnym oczu twoich błękitem
Purpurowe płatki ust mych
drżą w cichej tęsknocie,
By zamknąć odwieczną ich skargę
w przesłodkiej pieszczocie..

„Biała Uajali“.

OBY...!

„Zaira“. Ile skromności jest w tym zapewnieniu Pani, że Jej wiersze „prędzej nadają się na paliwo do ogrzania redakcji, niż jako materiał, godny uwagi Szanownych Czytelników „Moich Powieści“. No, no, oby nie sprawdziła się znowu bajka z kopciuszkiem, to znaczy skromność nie zwyciężyła..

Nadesłane wiersze spotkał różny los. I tak: „Wiosna“ — pójdzie do druku, „Posłuchajcie, co opowiem“.. — na zagładę z powodu usterek, no a wiersz: „Już przebrzmiał złoty róg Wernyhory“... uważam za nieaktualny i może zbyt naciągnięty. Zostawmy go zatem na lepsze okoliczności, zgoda? Łączę wyrazy przyjaźni i serdeczności!

WIOSNA

Barwami kwiecia umajona
I promykami słońca —
Idzie przez łąki i ugory
Radością życia lśniąca..

Idąc tak, cudne piosnki śpiewa
Beztrosko i wesoło
I zieleń traw i zbóż rozsiewa —
Czaruje świat wokoło.

Wylega z chałup lud wieśniaczy —
Śmiejący się, radosny..
Ten pług naprawia, ów z uśmiechem
Słucha odgłosów wiosny.

Tamten przeciągle z ulgą wzdycha
I do kościoła spieszy,
By podziękować szczerze Bogu,
Że czar się wiosny szerzy...

„Zaira“.

ŻYCZĘ DALSZEGO NATCHNIENIA!

„Irusia z Wołynia“. Mam dwa Pani listy i szereg wierszy, z których do druku przeznaczam następujące: „Zmartwychwstanie“, „Chmury“, „Maj“, „Już taka jesteś“, „Wybaczcie mi“ i „Ukochałem“.

Następną partię ocenię, gdy nadejdzie jej kolejka. Co do druku, to niektóre z wymienionych wierszy ukażą się dopiero w następnym roku we właściwym czasie.

Łączę miłe pozdrowienia i życzenie dalsze go natchnienia!

JUŻ TAKA JESTEŚ

Poświęcam „Ariance“

Taka jesteś dziecinna
I dziwnie czupurna,
Że na śmiech się zbiera,
Czasem dokuczliwa, to znowu niewinna,
Zawsze wesoła, nigdy nie chmurna,
A taka dziwnie szczera!

Gdy mówisz, to zda się,
Dzwonią cicho dzwonki,
Lub brzęczą kastaniety,
A gdy zdobią Cię
Balowe koronki —
Robisz wrażenie „Kapryśnej Marietty“

Nie myśl, że może
Zazdrością się truję,
Patrząc na Ciebie.
O nie! Broń mnie Boże!
Piszę tylko, co serce dyktuje,
Chcąc mieć Twój uśmiech dla siebie.

„Irusia z Wołynia“.

„KTO MA OCHOTĘ, NIECH NAPISZE...“

„Przeklęta Iwa“. Czy depresja minęła? Wierzę, że tak, bo poeta, to człowiek bardzo nastrojowy. W jednym dniu cieszy się, w drugim smuci. Stąd nadzieja, że u Pani wszystko dobrze się ułożyło! Do druku przeznaczam — „Na progu życia legł...“ i „Chata matki“ Resztę wierszy ocenię później. Na zakończenie komunikat Pani:

„Doniu“, napisz. Kochanie, a na pewno odpowiem! Kto ma ochotę, niech również do mnie napisze, a będę Mu wdzięczna!“

CHATA MATKI

Tam na wzgórzu matki chata,
Zapatrzona w gwiazd miliony,
Taka cicha, niebogata,
Zatopiona w sad zielony.
Szumią wokół bujne klony,
Szumią pieśnią długie lata.
Zatopiona w sad zielony,
Tam, na wzgórzu, biała chata..
Biegnie do nas na spotkanie
Z życia drogi przeminionej,
Śle nam uśmiech w wiry świata,
Ściska w sercu bole łkanie —
Ta ze wzgórza matki chata
Zatopiona w sad zielony.

„Przeklęta Iwa“.

DO CELU!

Strudzony życiem, które biernie wleczesz,
w którym nie widzisz ni wiary, ni jutra —
dokąd podążasz, zmęczony człowiecze —
kędy cię wiedzie ta niewiara smutna?

Czyś ty pomyślał, że życie to chwilka,
że bierność, bezwola, to złe życia duchy?
że twe istnienie w wszechświecie jest pyłkiem,
że jest ogniwem w ludzkości łańcuchu?

Nie wolno tobie upadać na sile,
dopóki celu nie ujrzysz przed sobą.
Choć życie krótkie, to czynu jest tyle,
że chwili straconej trza żałować srogo.

Otrząśnij duszę z bezwładnej bierności —
pod razy życia nie kładź głowy całej.
Radź sobie myślą, czynem, wytrwałością,
do celu dążąc — wysiłku nie żałuj!

Maria Krawczykówna.

GRANICA

Nie chcę nic, nie chcę kwiatów z oddali —
Nie chcę szczęścia, by wróciło ponownie.
Dziś za późno. Gorycz tylko pali,
Parzy serce — jak żarzące głownie.

Gdzie jesteś — o ty szczęście złudne!
Gdzie jesteś? Nie pytam już wcale.
Teraz — już mi wszystko jedno..
Już przywykłam, me dni takie szare. —

Gdzie jest — to — czego wciąż szukałam?
Gdzie wszystko — co chciałam od życia?
Goniłam, czuwałam, wołałam..
I co mam? — granica!

Granica, jakże dzielić potrafi
Każdą trawkę, każdy kwiat, nawet dusze.
Twarde słowo — wypowiedzieć je łatwiej,
Lecz uznać? A ja i to muszę..

Słońce, jak ty jasno świecisz!
A mnie wszystko wydaje się ciemne,
Chciałabym ponad ziemię wzlecieć,
Zbadać światy dalekie, tajemne.
Może tam nie ma granic, co dzielą.
W koło jasna cisza panuje —
A tu ciernie pod nogi się ścielą,
Lecz ja pójdę! Duszy nie zabiję!

„Wierzba na pustkowiu“.

WIOSENNA NOC

W czarowną noc, wiośnianą i cichą,
Serca nie kłuje już dawny ból —
Miłością kwiatów tchną w krąg kielichy
I zapach idzie od świeżych pól.

A w seledynie lampy księżyca —
Drżą dziwnie cienie kwitnących drzew
I noc pobladłe osłania lica —
Skądś płynie rzewny, przesmutny śpiew..

Na aksamitnym obszarze nieba —
Gwiazd sto tysięcy złociście lśni,
W noc taką sercu nic już nie trzeba
Prócz kilku słów, tych, co koją łzy.

Bo taka noc wiośniana i cicha —
Miłością tchnie i czarem tak drży,
Że serce młode, chociażby liche —
O szczęściu dobrym marzy i śni.

„Blanka“.

SKARBY PIASKU

Coś z pobytu nad morzem.

Sypkie ziarenka
Zamykam w dłoniach...
Złote iskierki
W ich sercach płoną..
Sypię i sypię —
Niezliczone krocie
Żywicznych cząstek
Skąpanych w złocie.
Przesuwam klejnoty
Niby czas w klepsydrze —
Tajemnic głębinom
Niestety — nie wydrę..

Różańska.

Przeciągnęła dłonią po zmarszczonym czole.

— Ksawery Rolski! Znowu Rolski!... Jezus Maria! Cóż za fatum sprzęgło mię z tą rodziną!... Czego on chce ode mnie? Czego on chce?

Chodziła nerwowo po pokoju. Otworzyła okno. Świeże chłodne powietrze orzeźwiło ją nieco.

Uspokoiła się.

Zrobiła sobie kąpiel. Po kąpieli puściła zimny prysznic na plecy. Wypiła filiżankę herbaty i położyła się do łóżka.

Obudziła się po południu wypoczęta i spokojna nerwowo.

Pierwszą jej myślą było:

— Dlaczego Roman powiedział mi nieprawdę? Po co skłamał?

ROZDZIAŁ X.

W poniedziałek Roman nie zadzwonił do Igi. Po południu koło piątej miała wyjść na miasto, aby parę rzeczy załatwić.

— Nie dzwonił — pomyślała — nie jest wykluczone, że teraz wpadnie do mnie. O tej godzinie często przychodzi. Dzisiejsze gazety co prawda tak pełne są sensacji z wielkiej polityki, że prawdopodobnie mój Romiś nie będzie miał czasu...

Na wszelki jednak wypadek została w domu.

I Roman rzeczywiście przyszedł.

— Wpadam na króciutko — rzekł, witając się w sposób dość roztargniony — bo dawno cię nie widziałem. Ale najpierw, pozwól, że załatwię parę telefonów.

— Oho! Romiś zelektryzowany. Masz zawsze gorączkę, kiedy w polityce się gotuje.

— Tak — uśmiechnął się — rzeczywiście. Ale przecie to mój żywioł.

I już nakręcał numer telefonu.

Odruchowo — tak jak często w czasie rozmowy przez telefon, bierze się bezmyślnie ołówek do ręki i kreśli jakieś esy floresy, — tak odruchowo Roman wziął za rękę stojącą obok Igę i posadził ją sobie na kolanach. Przeplatał jej palce w swoich palcach.

Całą myślą, uwagą, zainteresowaniem był od niej nieskończenie daleko.

Roman mówił po niemiecku. Z kimś innym po francusku. Iga rozumiała co mówi — ale rzeczywista treść tych rozmów była dla niej czymś absolutnie nieuchwytnym.

Trzeci raz nakręcił telefon — i naznaczył sobie z kimś spotkanie. Krótko i węzłowato: „To ja... — Tak — więc czekam o dziewiątej na drugim piętrze... do widzenia".

Przez tych dziesięć minut Romana nie było koło Igi, nawet w najmniejszej cząstce jego jestestwa. To, że trzymał jej palce w swoim ręku — nie miało żadnego znaczenia. To był ten ołówek.

Najistotniejsza treść życia Romana, najbardziej dla niego rzeczywiste zainteresowania, jedynie i wyłącznie pochłaniające go sprawy, tętno jego właściwego życia — wtargnęło tu na krótką chwilę i wyraźnie pokazało Idze, że zarówno ona jak i każda inna kobieta (pomimo, że bez kobiety nie mógł istnieć!) — mogą być tylko z boku stojącym dodatkiem. Nieodzownym, koniecznym, upragnionym — ale tylko dodatkiem. Dodatek schodzi zawsze na plan drugi, z chwilą kiedy tamte „sprawy" wystąpią i zawołają go do siebie.

Roman odłożył słuchawkę, chwilę jeszcze był myślami — tam, przy tych „sprawach", ściągnięte czoło nad brwiami wskazywało na skupienie.

— No, tak... to na razie wszystko...

— rzekł, jak gdyby coś załatwionego odkładał do zamkniętej teczki. Teraz przez chwilę może zająć się czym innym.

Już wszystkimi myślami był teraz przy Idze. Spojrzał na nią wdzięcznymi oczami, przyciągnął do siebie, pocałował.

Nie oddała mu pocałunku.

Popatrzył na nią zdziwiony. Wyrazem twarzy i oczu zapytywał: „dlaczego"?

— Dlatego, bo mi powiedziałeś w sobotę nieprawdę? Wyrządziłeś mi tym krzywdę. Przecie wobec mnie nie potrzebujesz kłamać!

— Ja? — zawołał żywo poruszony tym zarzutem i z najszczerszym zdziwieniem w oczach. — Ja tobie powiedziałem nieprawdę?!...

Iga widziała, że zdziwienie jego jest rzeczywiście szczere. Że naprawdę nie wie o co jej chodzi, że w tej chwili nie kłamie.

Poczuła, że jest niesprawiedliwą. A jednak...

— Powiedziałeś mi w sobotę, że nie możesz przyjść do mnie wieczorem, bo wyjeżdżasz po południu.

— Tak. Powiedziałem — odrzekł, patrząc uczciwie jej w oczy.

— Nie wyjechałeś. Widziałam cię wieczorem na rogu Brackiej i alei Jerozolimskich o godz. 9-tej z jakąś panią.

— Mnie? — roześmiał się wesoło. — Dziecko drogie! Przywidziało ci się! Nie było mnie w Warszawie. Wyjechałem tak, jak miałem wyjechać.

— A jednak cię widziałam.

— Nie, kochanie. Jestem pewien, że zachodzi tu qui-pro-quo, z którym się już nie raz spotykałem. Jest jeden pan w Warszawie, tak bardzo podobny do mnie, że już kilka razy zdarzyły mi się podobne do twojej wymówki. Pocóż miałbym tobie kłamać? Zastanów się, malutka!

Roman mówił prawdę. Iga nie miała co do tego najmniejszej wątpliwości. Zrobiło jej się przykro. Przysunęła się do niego i całując go czule, wyszeptała:

— No to przepraszam... Ale lepiej, że ci powiedziałam. Wyjaśniło się. A tak — chowałabym w sercu urazę, zachwiane byłoby moje zaufanie do ciebie i nosiłabym w duszy niedobry zarazek destrukcyjny. Zresztą to moja zasada! wszystko zawsze powiedzieć otwarcie.

— Bardzo dobra zasada. Nie mam do ciebie najmniejszego żalu.

Potem — jak zwykle — przestali rozmawiać.

A po pół godzinie Iga rzekła raptem, wyciągając do niego rękę:

— A teraz do widzenia. Idź już sobie. Roześmiał się wesoło.

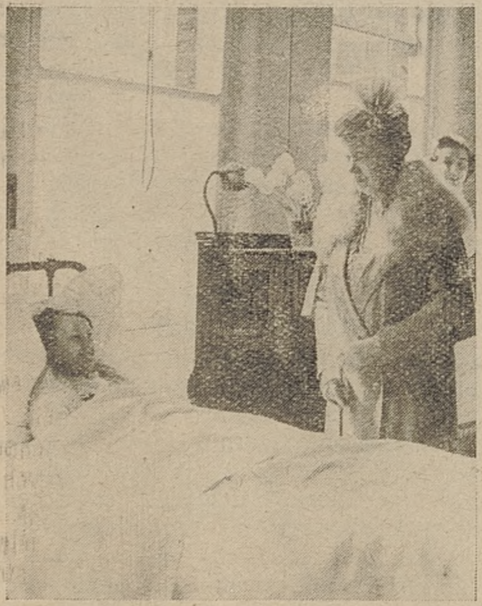
— Rozumiem! przesądzasz fakty...

— Tak. Żeby było mniej przykro... Tak nie lubię, gdy mówisz: już trzeba iść...

(Ciąg dalszy w nast. numerze)



Żołnierze japońscy uprawiają tradycyjną szermierkę, przekazywaną im przez pokolenia kilku wieków



Królowa - matka Mary angielska zwiedza nowo-otwarty szpital w Chelsea

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

— Panowie, jestem do ich dyspozycji. Prędzej, czy później prawda wyjdzie na jaw.

Sierżant zbliżył się do niego, aby założyć mu kajdanki.

— Zbyteczne! — żachnął się Ho-To-To. — Pójdę i bez tego.

— Taki przepis — rzekł dyplomatycznie Betcher.

Ho-To-To bez słowa wyciągnął ręce, a sierżant szybko je okuł.

— A zatem idziemy! — rzekł.

— A małpy, panie sierżancie? — zagadnął jeden z konstabli.

— Zastrzelić! Natychmiast zastrzelić! — wykrzyknęła Ellen. — Inaczej zabiją jeszcze niejednego!

— Nie ważcie się! — rzucił groźnie O'Sullivan.

Policjanci spojrzeli pytająco na swego przełożonego, ten zaś — na Ellen.

— Przecież jest skuty, panowie! — syknęła pogardliwie. — Cóż może komukolwiek uczynić?...

O'Sullivan spojrzał w jej twarz z dziwnym wyrazem w kącikach ust — i nim ktokolwiek zdołał się zorientować, bez słowa rzucił jej pod nogi rozerwane kajdanki.

Lęk odmalował się w oczach dziewczyny, a policjanci z podziwem patrzyli na olbrzyma, odsuwając się od niego nieznacznie.

— Goryle pójdą ze mną! — rzekł zimno Ho-To-To. — O ile nikt ich nie rozdrażni, nie uczynią nikomu krzywdy.

I oto O'Sullivan ze swymi kosmatymi przyjaciółmi, w otoczeniu konstabli, szedł przez ludne ulice Cork — do więzienia, gdzie miał oczekiwać przyjazdu władz sądowych i komisarza policji śledczej z Queestown...

VI.

ABDULLAH SINGH

Przygotowałem właśnie do druku opis jednej z najciekawszych przygód mr. Thompson,a, gdy on sam wpadł do mego numeru hotelowego, rozwalił się w fotelu i zapalając nieodstępną fajkę, rzekł bez wstępu:

— Zbieraj się!

— Dokąd?

— Jedziemy nad morze. Do południowej Walii.

— Ależ po co?

— Ja jadę odpocząć, a ty będziesz mi towarzyszył. Czasem lubię myśleć głośno, a akurat obecnie mam taką sprawę, że potrzebny mi jest powiernik.

W godzinę później pędziliśmy już na dworzec zachodni doskonałą taksówką i niebawem, zająwszy wygodny przedział w pullmanowskim wagonie, opuściliśmy pełne mgieł miasto.

Przyjaciel mój długi czas milczał, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Trzydzieści lat temu, gdy byłem bardzo jeszcze początkującym detektywem, pewnego wieczora dzwonek telefonu, stojącego na moim biurku — działo się to w Polsce, w Warszawie — zadźwięczał ostrym, urywanym głosem, dziwnie nieprzyjemnie. Sięgnąłem wolno po słuchawkę.

— Hę? Kogo znów żołądek rozbolał? — zagadnąłem jowialnie i dopiłem resztę koniaku, złocącego się na dnie lampki.

— Co?! — wykrzyknąłem. — Porwano? W pańskich oczach?... Za pięć minut będę u pana.

Gdy wszedłem do mieszkania, skąd mnie wzywano, brat porwanej dziewczyny biegał jak oszalały po jadalni, roztrącając sprzęty.

— Nie mogłem się pana doczekać!... — rzucił na powitanie. — Dałem już znać policji... Dobrze:, że zauważyłem numer automobilu...

Skrzywiłem się z niezadowoleniem.

— Niepotrzebnie zawiadamiał pan policję — rzekłem — ale mniejsza z tym. Niech się pan teraz trochę uspokoi i zechce mi mi szczegółowo opowiedzieć całą sprawę.

— Łatwe to, myśli pan — stęknął. — Trzęsę się cały i myśli zebrać nie mogę...

Nie odpowiedziałem. Usiadłem na otomanie i zapaliwszy grube manila, puszczałem w powietrze misterne kółka, z których tworzyła się przepyszna spirala. Rzadko udawały mi się tak piękne spirale.

Tymczasem gospodarz przyszedł nieco do siebie i począł opowiadać.

— Otóż około godziny dziewiątej wracałem z siostrą z kinematografu. Wchodząc już do bramy, sprzeczaliśmy się o aktorki, gdy wtem jakichś dwóch czarno ubranych i zamaskowanych mężczyzn rzuciło się na mnie stylu i powaliło na ziemię. Zanim zdołałem powstać, wciągnęli Bożennę do limuzyny, która ni stąd ni zowąd zatrzymała się przed domem. Ledwo zerwałem się z chodnika, automobil ruszył i zniknął na zakręcie. Spostrzegłem, że opatrzony był oświetlonym numerem 311. Nie wszczynałem alarmu, wiedząc, że nicby to nie nałem alarmu, wiedząc, że nicby to pełnie pusta. Policji podałem numer automobilu; sądzę, że dzięki temu wykryją złoczyńców...

— To niema znaczenia — rzekłem — może pan być pewien, że nie byli oni tak naiwni, aby wywieszać prawdziwy numer. Czy nie mógłby mi pan opisać wyglądu tego samochodu?

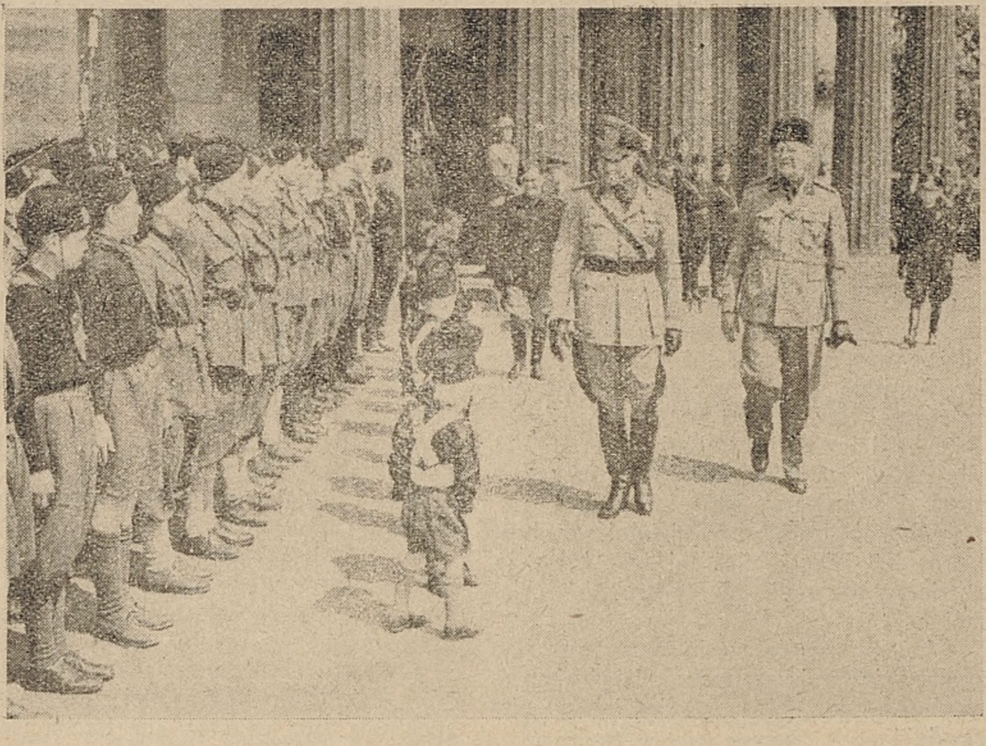
— Owszem. Czarny, najmniej sześcioosobowy, popędzany elektrycznością...

— To ważne. Mniej jest samochodów sześcioosobowych, niż czteroosobowych, jeszcze mniej czarnych, najmniej zaś elektrycznych. Mówił mi pan przez telefon, o ile się nie mylę, że zbiegli w stronę Mokotowa?

— Tak.



Król belgijski Leopold ze swymi dziećmi w chwilę po otwarciu międzynarodowej wystawy w Leodium



Min. Ciano dokonuje przeglądu Ballili (faszystowskiej organizacji młodzieżowej) kolonii włoskiej w Berlinie

— To zresztą nic nie mówi. Mogli naprzykład pojechać akurat w przeciwną stronę.
Oczy gospodarza wpatrzyły się we mnie z przerażeniem.
— Czy chce pan przez to powiedzieć, że uciekli zagranicę?! — wykrzyknął.
— Przedwcześnie jeszcze byłoby wyciągać wnioski — odparłem. — Ale, ale... Mówił pan, że samochód zjawił się nagle pod bramą. Czyżby nie jechał za wami?
— Odnoszę wrażenie, że nie... Na rogu Alei Szucha obejrzałem się, czy nie idzie nasz kuzyn, z którym byliśmy w kinematografie, a który zatrzymał się obok trafiki ze znajomym. Nie widziałem wtedy żadnego automobilu.
— Hm... A nie mówiliście państwo nikomu w domu o której wrócicie?
— Nie. Mieszkamy tylko we dwoje, więc... Zaraz, mówiłem Anetce, naszej służącej, by przygotowała kolację na dziewiątą, o tej bowiem godzinie przyjdziemy z miasta.
— A teraz wybaczy mi pan trochę niedyskretne pytanie: czy panna Bożenna nie miała jakichś natrętnych wielbicieli, których odstręczyła?
— Nie. Mogę twierdzić z całą pewnością, siostra bowiem nie miała przede mną żadnych sekretów.
— Dobrze. A czy nie zauważył pan przypadkiem, lub, czy panna Bożenna nie opowiadała panu, że ktoś za nią chodził po ulicy, że chciał z nią koniecznie zawrzeć znajomość, lub w ogóle coś w tym rodzaju?
— Owszem. Przed miesiącem mówiła mi, że przechodząc Marszałkowską, natknęła się na jakiegoś wysokiego, śniadego mężczyznę, który wpatrywał się w nią uporczywie i stał na chodniku, dopóki nie przeszła. Twierdziła, że miał w rysach coś wschodniego. Mniej więcej tydzień temu ten sam mężczyzna szedł za nią wytrwale od Alei Jerozolimskich, aż do bramy...
Zamyśliłem się i dopiero po dłuższej chwili zwróciłem się do gospodarza.
— Czy nie zechciałby pan pod jakimkolwiek pretekstem przywołać tu swoją



Ekscentryczny kapelusz. Zdjęcie z Londynu

służącą, Anetkę, o ile mnie pamięć nie myli?
Zdumiał się.
— Ależ chętnie, doprawdy jednak...
— Mniejsza z tym — przerwałem szorstko — później dowie się pan, o co chodzi.
Urażony nieco, dwukrotnie nacisnął guzik dzwonka.
Po kilku sekundach usłyszałem w przedpokoju szybkie kroki i w drzwiach jadalni ukazała się ładna, rumiana dziewczyna.
Gospodarz otwarł usta, aby coś powiedzieć, natychmiast jednak uprzedziłem go:
— A skądże pan wydobył taką śliczną dziewuszkę?... Dziewczynka jak łania; trudno w Warszawie o ładniejszy buziak... Nie dziw tedy, że panienka za mąż wychodzi — zwróciłem się do niej — za tego, jakże mu tam... Józefa, Józefa...
Służąca zaśmiała się, zapłoniona cała i zadowolona z pochlebstwa.
— Skąd pan wie, że za Józefa?... — chichotała. — Właśnie, że za Antoniego...
— A prawda, tak, tak... Antoniego Wal... Wal...



— Gąsarczyka — podpowiedziała, śmiejąc się w dalszym ciągu.
Właśnie: Antoniego Gąsarczyka. Widzi panienka, jak to na starość człowiek traci pamięć do nazwisk... A znam go od dziecka! Pewnie mu się teraz dobrze powodzi, bo inaczej to by go panienka chyba nie chciała, co?
Zaśmiała się znowu.
— Bo i pewnie, ale jemu dobrze się wiedzie...
— Po staremu służy u hrabiego Holin...
— Ależ zaraz to u pana Andrzeja Singmana w Mokołowie. Bogaty pan i dobrze płaci Antoniemu...
— To tydzień temu panienka poznała się z nim i już po słowie, no, no...
— Jej! — wykrzyknęła dziewczyna. — Ale to pan wszystko wie!... I skąd?...
— Mówiłem przecież, że znam go od dawna... Widziałem nawet, jak przyszedł dziś do panienki...
Służąca zmieszała się nieco.
— Wiem jeszcze więcej — mówiłem, śmiejąc się dobrodusznie — bo przecież on ciągle tu siedzi i panienki wygląda, to w bramie, to na schodach, to na ulicy... Zakochał się biedaczysko po uszy...
Dziewczyna spojrzała trwożnie na swego chlebodawcę, po czym błagalnie — na mnie, prosząc niemo wzrokiem, abym nie zdradzał jej tajemnic...
Uśmiechnąłem się i skinąłem głową na znak, że nic już nie powiem, a wtedy gospodarz, dziwnie podrażniony moim zachowaniem, ostrym tonem polecił służącej nalać dwie szklanki herbaty i przynieść konfitur. Powstrzymałem go jednakże, mówiąc, że muszę już wyjść, jeżeli moje poszukiwania mają być uwieńczone pomyślnym skutkiem.
— Niech pan będzie dobrej myśli — dodałem — może prędzej siostra pańska odzyska wolność, niż pan przypuszcza...
Popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem i ukłonił się w milczeniu.
— Gładko poszło! Po prostu nadspodziewanie! — rzekłem do siebie z zadowoleniem, znalazłszy się na ulicy.



Japońskie organizacje młodzieżowe starają się o fachowe wykształcenie swych członkiń



Zbiór tulipanów w cieplarni

Mr. Thompson urwał i spojrzał na mnie.
— Jak ci się podoba ta historia?
— Ależ nic z tego nie wiem. Czy to ów Singman porwał Bożenę?
— Oczywiście, podejrzewałem tylko, że pod tym nazwiskiem kryje się zupełnie kto inny.
— ?
— Może jaki orientalny nabab...
— Albo handlarz żywym towarem.
— Nie. Tacy postępują z większą ostrożnością. Nie porywają kobiet w ten sposób, wiedzą bowiem, że nie tak łatwo umknąć ze zdobyczą dalej niż kilkadziesiąt kilometrów, jeżeli porwanie działo się na ludzkich oczach. Poza tym nie trudno przecież wpaść na trop samochodu elektrycznego; nie jest to rower, który można ukryć gdziekolwiek. A wreszcie ten rzekomy narzeczony Anetki, który nie kryje się nawet u kogo służy... Przecież tak nie postępują agenci handlarzy żywym towarem...
— A jeśli skłamał, jeśli Singman w ogóle nie istnieje?
— I ja to zrazu podejrzewałem, później wszakże doszedłem do przekonania, że tak nie jest, boć kobiety, zwłaszcza z tej sfery, co Anetka, nie są tak naiwne i bezinteresowne, jakby się to mogło zdawać, niechybnie więc sprawdziła ona, co nie jest rzeczą trudną, czy jej konkurent istotnie służy u Singmana. Mogą cię zapewnić, że żaden agent nie podałby się za służącego któregoś z mieszkańców Warszawy, mógłby bowiem szpetnie wpaść. On mówił prawdę, z głupoty może, ale niemniej nie kłamał.
— Dziwi mnie jednak, dlaczego wpadłeś od razu na pomysł wybadania służącej, na tej tylko podstawie, że gospodarz mówił jej, aby na godzinę 9 przygotowała kolację...
— Mój drogi! Jeżeli samochód zjawił się nagle, akurat w chwili, gdy mieli już wchodzić do domu i jeżeli nie stał w Alei Szucha, to dowód, że napastnicy dobrze wiedzieli, o której godzinie Bożena będzie wracała. Mogło to być wprawdzie dziełem przypadku, mało w tym jednak prawdopodobieństwa. Otóż, nie mając na razie żadnych konkretniejszych faktów, postawiłem hipotezę najprostszą, jaka być może: dowiedzieli się od Anetki, o której godzinie państwo jej mają być w domu. W dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, przepysłowcy zbierają informacje od służby, dlaczegóżby więc tym razem odrzucić tę możliwość? Okazało się, że miałem rację. Tylko, że dziewczyna była inspirowana...
— Przez kogo?
— Przez swego chlebodawcę.
— Jakto?. Co ty gadasz?
— A tak. 14-letnia dziewczyna przypadła do gustu milutkiemu braciszkowi, więc postanowił posiąść ją za wszelką cenę. Nie chciał wywołać wstrętu do swej braterskiej osoby, porwał tedy dziewczynę i ulokował ją u swego wspólnika, Singman a sam, świetnie ucharakteryzowany, jako Arab Abdullah Singh, rozkoszował się wdziękami uwięzionej dziewczyny, której był jedynym pocieszycielem...
— To ohydne! Ale powiedz mi, poco opowiadasz te stare dzieje?
— Chcę dobrze uprzytomnić sobie, do czego zdolny jest Mikołaj Żarecki, najstarszy z ośmiu złoczyńców, z których połowa spoczywa już, na szczęście, po tamtej stronie...
— Żarecki?! — wykrzyknąłem wzburzony.
— Tak, tak, jeżeli wolisz: Burke. I — po uwiedzeniu własnej, jedynej siostry, którą nawet bez jej wiedzy wyratowałem z jego szponów, a która zresztą dostała się później w łapy innego łajdaka,, o czym nie wiedziałem, po tym wszystkim — zamordował jej jedynego syna.
— Dlaczego? Jakiż powód tej nowej ohydy?
— Worek z dolarami, który młodzieniec miał odziedziczyć po swym amerykańskim ojcu...

VII.

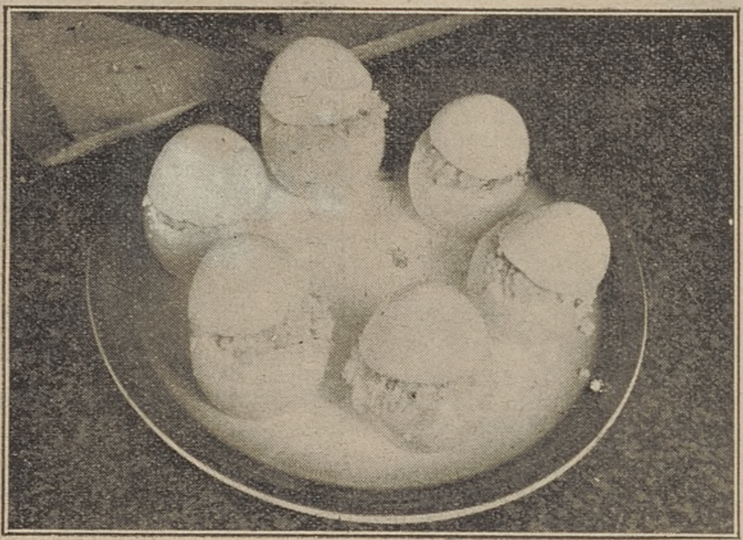
UCIECZKA

O'Sullivan z trudem powstrzymywał się, by nie wywalić okna wraz z kratami i fragami, i nie wydostać się na wolność. Ciasna, ponura nora z garścią słomy na posłanie, chleb, do którego nie mógł się przyzwyczaić, a nadto nieświeża woda — nie mogły zadowolić pana Wielkiej Puszczy, przywykłego do spania wśród konarów drzew, jedzenia świeżych owoców, jaj i mięsa, oraz picia źródlanej wody. Na dobitek, Lo-Wo, któremu doskwierała rana, lekka zresztą, ale bolesna, pojękiwał co chwila. Spędzało to O'Sullivanowi sen z powiek.
Bezwątpienia od paru już godzin wydostałby się spod opieki policji, gdyby nie — myśl o Ellen. Niesprawiedliwość jej i przewrotność bolały go wprawdzie bardziej, niż sam zdawał sobie z tego sprawę, niemniej pożądał ją i kochał, coprawda niezupełnie jeszcze pojmował owe uczucia. Niezapomniana chwila, kiedy trzymał ją w ramionach — powolną sobie — i okrywał pocałunkami jej ciało, oszołamiające zapachem kobiety, na nitce wywrócił jego dotychczasowe poglądy na świat. Ach, gdybyż ją miał przy sobie! Postarałby się, aby zapomniała o wszystkich gniewach i dąsach, jak w prostocie ducha oceniał jej zachowanie. Wiedział jednak, że jeżeli policja nie stwierdzi jego niewinności, nietylko nie będzie mógł pokusić się o znalezienie drogi do Ellen, ale — choćby posiadał wystarczającą ilość pieniędzy — musi wyrzec się powrotu do Afryki, władze bowiem będą ścigać go na każdym kroku jak pospolitego zbrodniarza.
Nazajutrz rano wezwano go do sędziego śledczego. Urzędnik zasiadł w kancelarii aresztu w towarzystwie komisarza policji i kilku konstabli, uzbrojonych od stóp do głów.
O'Sullivan nie wiedział, że przedtem przesłuchano Ellen, która zołżyła fałszywe i wysoce obciążające go zeznania. Przesłuchano również Daisy. Dziewczyna broniła go, twierdząc, że ojciec jej, a właściwie ojczym — była pasierbicą O'Sourke'a — wystrzelił doń z rewolweru; kula zraniła małpę i to właśnie było powodem potwornej śmierci ojczyma.
Gdy Ho-To-To zakończył swe opowiadanie — przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nie uwierzyli jego słowom, gdyż O'Sourke cieszył się w okolicy opinią solidnego i spokojnego obywatela, umiejąc zręcznie urabiać o sobie przekonania — sędzia śledczy zadał pytanie:
— Radbym wiedzieć, w jakim celu przyjechał pan do Cork, mr. O'Sullivan?
Olbrzym zmieszał się nieco. Nie uszło to uwagi sędziego.
— Tęskniłem za krajem... — odparł trochę nienaturalnym głosem.
— I odrazu odwiedził pan wuja, który, jak pan twierdzi, zamordował pańskiego ojca! To ciekawe, że tak prędko zapomniał pan o tej zbrodni i złożył wizytę...
Ironiczny ton sędziego rozgniewał O'Sullivan'a.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

RAJ KOBIET

Jaja jako środek spożywczy, lekarski i kosmetyczny



JAJKA JAKO LEKARSTWO

Jaja są doskonałym lekarstwem dla osób osłabionych ciężką chorobą, dla osób małokrwistych lub cierpiących na chorobę płucną. Aby otrzymać ten niezawodny środek, bierzemy słó' szklany, układamy w nim 6 całych jajek w skorupach, zupełnie świeżych i zniesionych jednego dnia. Następnie wyciskamy tyle cytryn, ile potrzeba soku cytrynowego, aby ułożone jajka pokryć. Słój owiązujemy szczelnie papierem pergaminowym i ustawiamy w ciemnym i chłodnym miejscu.

Po sześciu dniach mieszaninę, powstałą z jajek i soku cytryny, przecieramy przez durszlak, a następnie przez dosyć gęste sito. Otrzymaną masę mieszamy z miodem, którego bierzemy pół kg, dodajemy jeszcze ćwierć litra dobrego koniaku i lekarstwo gotowe. Można użyć go jednak dopiero po sześciu dniach, przechowując zawsze w miejscu ciemnym i chłodnym. Zażywamy po łyżce stołowej, trzy razy dziennie. Osobom ciężko chorym na gruźlicę lekarze radzą zjadać dziennie 6 jajek pod różnymi postaciami.

JAJKA W KOSMETYCE

Amerykańskie czasopisma drobiowe oraz pisma kobiece dużo miejsca poświęcają używaniu jaj jako środka kosmetycznego. Według opinii tych organów, włosy, umyte jajkiem zamiast szamponu, odznaczają się niezrównanym blaskiem oraz pięknym odcieniem.

Najprostszy sposób użycia jest następujący: oddzielamy białko z 2-ch jaj i rozbijamy je na ciecz. Następnie lekko rozbijamy żółtka. Włosy, namoczone uprzednio, równomiernie smarujemy żółtkiem. Szczególnie pieczołowicie należy wcierać i masować żółtko w miejscu, gdzie włosy ulegają przerzedzeniu. Po tym zabiegu głowę starannie myjemy ciepłą wodą. Po umyciu w analogiczny sposób wcieramy białko. Następnie głowę myjemy powtórnie i suszymy włosy gorącymi ręcznikami. Najodpowiedniejszym po tym zabiegu jest suszenie włosów na słońcu. Podczas suszenia bardzo pożyteczne jest włosy ustawicznie sztczotkować. Najskuteczniejszym sposobem użytkowania jaj do celów kosmetycznych jest jajeczna maska na twarz. Zabieg ten stosuje się następująco: Wymyć twarz dokładnie dla usunięcia kurzu, resztek kremu i pudru. Bierzemy białko z jednego jajka, ubijamy dokładnie pianę i równomiernie, najlepiej za pomocą szczoteczki, nakładamy na suchą skórę twarzy i szyi. Po wyschnięciu białka rozprowadzamy równomiernie samo żółtko. Następnie maska wysycha przez dwadzieścia minut. W przeciągu tego czasu trzeba się oddać bezwzględnemu odpoczynkowi w pozycji leżącej, przy czym nogi powinny się znajdować wyżej niż tułów. Po skończonym zabiegu twarz zamykamy ciepłą wodą i pożądane jest, aby natychmiast nie była smarowana kremem i szminkowana.

KONSERWOWANIE JAJ

Gospodynie wiejskie przechowują jajka kurze w sieczce lub rzadziej w wapnie. Niektóre kładą je do płynnego szkła. Gospodynie amerykańskie stosują zupełnie inny system przechowywania jaj. — Świeże jaja kładzie się prowadzące racjonalną gospodarkę jajczarską do szczelnie zamkniętej komory o zmniejszonym ciśnieniu powietrza, skutkiem czego powietrze znajdujące się w jajku prawem osmozy przenika na zewnątrz. Po pewnym czasie wkłada się jajka do bezwonnego i nie posiadającego żadnego smaku oleju mineralnego, po czym wypełnia się komorę kwasem węglowym. Ten sposób pozwala na przechowywanie jaj latami nawet, w stanie zupełnej świeżości.

JAK GROMADZIĆ ZAPASY I ZABEZPIECZAĆ JE PRZED GAZEM?

Przedmiotem obrad angielskiej Izby Gmin była niedawno debata o gromadzeniu zapasów żywnościowych przez domy prywatne; w rezultacie uchwalono dezyterat, żeby każde gospodarstwo rodzinne zaopatrzyło się w zapasy artykułów pierwszej potrzeby na przeciąg 2 tygodni.

Sprawa ta jest nie mniej aktualna u nas. W naszych warunkach należałoby zerwać z przyjętą przez powojenne gospodynie zasadą kupowania tylko takich ilości artykułów spożywczych jaka jest potrzebna na dzień bieżący. Nasze gospodynie powinny pomyśleć o magazynowaniu zapasów, które pozwoliłyby im przetrwać przynajmniej okres dwutygodniowy, gdyby tego zaszła potrzeba.

Do tego celu nadają się przede wszystkim krajowe konserwy mięsne, dobrze przetopione masło, tłuszcz wysmażony domowym sposobem z sadła, słonina wędzona i boczek, trwałe wędliny. Można również przechowywać mięso, pasztety, drób i zwierzynę w t. zw. wecku. Masło i tłuszcze należy przechowywać w naczyniach kamiennych, albo w naczyniach z ciemnegos zkła. Należy także pomyśleć o zgromadzeniu pewnych zapasów mąki, cukru, fasoli, grochu, suszonych grzybów, oraz o przygotowaniu zasobu sucharów. Do magazynowania domowego nadaje się także soja, która pod względem wartości odżywczych zastępuje w zupełności mięso. Koniecznym uzupełnieniem spiżarni będą przetwory owocowe i jarzynowe tudzież cenne soki witaminowe, jak sok żurawinowy i porzeczkowy, które mogą zastąpić cytrynę. Pożądany jest również zapas marmolad i dżemów zastępujących omastę do chleba. Wreszcie pamiętać należy o zaopatrzeniu się w sól i inne przyprawy, do których zaliczyć można także zioła jadalne z naszych łąk, pól i lasów.

Rzecz jasna, że zapasy powinny być wymieniane i odświeżane, to znaczy zapas dawniejszy używa się na codzienne potrzeby domowe uzupełniając go w miarę zużycia. Kompletowanie i uzupełnianie zapasów należy prowadzić odpowiednio do sezonu, w jakim dany produkt jest najtańszy i najbardziej dostępny. Świeże jarzyny kupuje się jesienią na całą zimę i wiosnę. Zapas konserw owocowych i jarzynowych robi się latem na cały rok.

Odrębnym zagadnieniem jest ochrona środków żywnościowych przed gazami bojowymi. Używane w wojnie gazy działają bowiem zatruwająco i niszcząco na żywność. Najbardziej odpowiednim sposobem uchronienia artykułów żywnościowych przed gazami bojowymi są szkla ne butelki i słoje, zamknięte dobrze dopasowanymi korkami lub pokrywkami. Do tego celu służyć mogą również puszki metalowe, uszczelnione skrzynki drewniane i woreczki celofanowe. Trzeba jednak pamiętać, że chlor działa niszcząco na metal, a iperyt wsiąka w drzewo na 15 cm. głębokości. Dla zabezpieczenia ziemniaków i jarzyn w piwnicy należy nakryć je warstwą słomy, albo siana grubości 15 cm i przykryć brezentem lub papą, przysypując brzegi ziemią. Mniejsze zapasy nie woniejących produktów żywnościowych oraz naczynia kuchenne i domowe winny być przechowywane o ile możności w pomieszczeniu uszczelnionym.

CZYM POBUDZIĆ APETYT?

Najważniejszymi przy odżywianiu zasadami są apetyczność i odpowiedni dobór wartości chemicznych potraw. Należycie przyrządzone powinny wywoływać objaw, zwany łaknieniem. Tę ich właściwość nazywamy apetycznością. Obiektywnie łaknienie objawia się przez wydzielanie śliny i soku żołądkowego i dlatego ma doniosłe znaczenie dla trawienia i przyswajania pokarmów. Apetyczność zależy od wielu czynników, a mianowicie od smaku, zapachu, wyglądu, wreszcie od sposobów przyrządzania i podania. Apetyczność ma w dietetyce wielkie znaczenie, ponieważ bardzo wiele osób cierpi właśnie na brak łaknienia.

Aby je wzbudzić należy więc podawać potrawy, które by je pobudziły. Do nich należą w pierwszym rzędzie ryby. Wyglądają one bowiem bardzo ładnie, mogą być przyrządzone na najrozmaitsze sposoby i pobudzają łaknienie a przytem są lekkostrawne.

Przy kupowaniu ryb, szczególnie śniętych, bardzo jest ważne umiejętne rozpoznanie czy ryba jest niezepsuta. Badając, należy przede wszystkim obejrzeć jej skrzela, oczy, jamę pyskową, zbadać zapach, a także zrobić na rybie w paru miejscach nacięcia nożem.

Ryba świeża zawsze jest wilgotna i z połyskiem, łuska musi dobrze przylegać do mięsa, oczy są czyste, nie zapadnięte i bez żadnych plamek, skrzela są koloru żółto-czerwonego i po każdym odciągnięciu odpadające z powrotem na swoje miejsce. Mięso ryby świeżej jest sztywne, elastyczne i różowego koloru. Oznaki ryby zepsutej są następujące: ryba zepsuta ma wygląd matowy, bez połysku, łuska odstaje łatwo, skóra się warszczy, skrzela są blade, mięso miękkie i przy dotknięciu palcem pozostawia ślady; zapach takiej ryby trąci zgnilizną, oczy są mętne i zamglone.

Przy badaniu ryby należy też pamiętać, że przy niektórych warunkach niektóre zmiany nie oznaczają zepsutej ryby. Np.: u ryb łowionych za pomocą sieci, nieraz łuska również może odstawać; w tych wypadkach trzeba brać pod uwagę wszystkie inne oznaki. Skutkiem spożywania ryby zepsutej, niezdrowej, mogą powstawać następujące cierpienia:

Pokrzywka: polegająca na zjawieniu się wysypki na całym ciele, której towarzyszy ból głowy i gorączka.

Zatrucie rybim jadem: powstaje wskutek spożycia ryby zgniłej. Objawy w tym wypadku

są podobne, jak przy zatruciu nieświeżą kiełbasą, to jest: boleści, wymioty, ból głowy itp. Wreszcie mogą być też i inne choroby, wywołane przez znajdujące się w rybach zarazki, np. katar żołądka i kiszek, żółtaczka itp. Prof. dr. Ulrich twierdzi, że wszystkie dotychczasowe sposoby przyrządzania rybnych potraw nie dają żadnej gwarancji ich nieszkodliwości. Najpewniejszym sposobem jest gotowanie ryby, lecz nie smażenie, przy sporządzaniu potrawy z ryby niepewnej.

Ale wróćmy do tematu głównego. Otóż do pobudzania łaknienia służą również różne ostre przyprawy, są one jednak szkodliwe dla zdrowia i często używane spowodować mogą schorzenia nabłonków. Ważnym jest również to, by zdać sobie sprawę, jak długo przyjęty pokarm pozostaje w organiźmie. Więc np. ryba gotowana 2—3 godzin, podobnie jak zsiadłe mleko, kawa, kakao, jesiotr, minogi, piklingi wędzone — tak samo jak szynka, bewsztyk polędwica — 3—4 godzin. Osoby, które są na diecie powinny jeść ryby gotowane, gdyż są one tak lekkostrawne jak młode indyki i kurczęta, a znacznie tańsze.

Apteczka domowa

W każdym starannym gospodarstwie powinna być tak zwana domowa apteczka. Także w każdym lepszym przemysłowym fachowym interesie znajdują się małe, praktycznie zebrane apteczki, w których jest wszystko, co potrzebne przy udzielaniu pierwszej pomocy. Poniżej zestawione przybory i środki lecznicze powinny znajdować się w każdym przezornym a zasobnym domu. Częścią służą one do ciągłej pielęgnacji chorych, częścią znajdują zastosowanie przy udzielaniu pierwszej pomocy. Przy każdym przedmiocie i środku leczniczym jest podane, jak i kiedy należy ich użyć. Pojedyńcze przedmioty, nie są koniecznie potrzebne, lecz wskazany tam, gdzie na pomoc lekarską długo trzeba czekać.

PRZYBORY

Ciepłomierz (maksymalny). Przy każdej chorobie lub podejrzeniu o nią mierzyć ciepłotę ciała 3 razy dziennie, zawsze o tej samej godzinie, zapisując ją do kontroli.

Worek na lód (nieprzemakalny) potrzebny przy złamaniu kości, krwotokach, zapaleniach, udarach itp.

Nieprzemakalny batyst (Billrotha lub Mosetiga) dla nieczystych chorych jako podkład pod prześcieradło.

Rurka do picia; potrzebna przy zapaleniach gardła itp.

Hegar albo Irrigator.

Szpilki (t. zw. przyjaciółki) służą do przymocowania bandaży.

Sterylizowana wata w zamkniętych pakietach lub w pusze.

Biała gaza (mulowa) w zamkniętych pakietach a 10 m.

Bandaże flanelowe i kalikotowe po 3 sztuki.

Bandaż gumowy, potrzebny przy krwotokach.

Nożyczki, które tylko przy udzielaniu pierwszej pomocy służą do użycia; poza tym mają być czysto i nietknięte zachowane.

Plaster angielski; służy do przymocowania małych bandaży.

Ręcznik przynajmniej 3 m długi do zimnych okładów.

ŚRODKI

Kwas borowy (accidum boricum) w proszku i 4 proc. rozczynie służy do zasypywania, ewentualnie wymycia małych ran.

Waselina borowa 5—10 proc.; używa się przy poparzeniach.

Kwaśna woda (Burowa, liquor aluminii acetici), przed użyciem rozcieńczyć 4 częściami wody; służy do okładów przy zapaleniach z puchliną połączonych.

Plaster salicylowy; używa się przy tworzących się wrzodach, nagniotkach itp.

Oliwa potrzebna przy oparzeniach, otruciu, a czasem jako lewatywa. Aqua calcis z oliwą służy przeciw poparzeniu.

Sól gorzka (angielska), olej rycynowy, słodkie drzewo w postaci proszku — to środki przeczyszczające.

Słodkie drzewo używa się jako odwar (1 łyżeczka na szklankę wody wrzącej).

Mączka ryżowa, Xeroform — to proszki do zasypywania ran.

Woda karbolowa 3 proc. rozczyn, Kalium hypermanganicum (w kryształkach) — to środki desynfekcyjne, zarazem trucizna, dlatego trzymać osobno pod kluczem.

Szara maść; przy zatruciach (np. przez ukąszenie węża).

Wino, koniak, woda kolońska — to środki wzmacniające i pobudzające czynność serca.

Kwas octowy i cytrynowy (w kryształkach); przy zatruciach.

Soda carbonica (Natrium carbonicium ewentualnie bicarbonicum); używa się jej przeciw pieczeniu w gardle z powodu odbijania przy katarach żołądkowych.

Phenacyna (w proszkach 1—3 gramowych (przeciw bólowi głowy, newralgii, reumatyzmowi i gorączce.

Krople Hoffmana; służą przeciw omdleniu, osłabieniu i nudności.

Natrium salicylicum, Aspiryna lub Aspro — używa się przy reumatyźmie stawowym, mięśniowym itp.

Spirytus formalinowy; przeciw poceniu nóg.

Krople żołądkowe; przy kurczach żołądkowych i psychicznym podrażnieniu dla uspokojenia.

Spirytus kamforowy; do nacierania przy reumatycznych dolegliwościach i bolesnych uderzeniach.

APTECZKA DOMOWA DLA OBRONY PRZECIWGAZOWEJ

1. *Annogen czyli chlorimnia w pastylkach, proszku mydło annogenowe 1 pastylkę na szklankę wody zapach chlor* (środek dezynfekcyjny) łagodzi działanie gazów bojowych, mydło służy do zmywania ciała zaiperytowanego.
2. *Soda oczyszczona (natron)* również łagodzi działanie gazów bojowych. Natron przyłożony na krople iperytu wchłania ją natychmiast. Soda oczyszczona służy do płukania oczu, ust, nosa, gardła a także do picia w razie zaiperytowania. Tampon moczy się w roztworze sody.
3. *Gaza, wata, bandaż*
4. *Opatrunki osobiste* (w razie wyjścia w teren).
5. *Krople walerianowe (10—15 kropl.)* (działają uspakajająco).
6. *Kawa* (środek pobudzający akcję serca).
7. *Woda utleniona, nadmanganian potasu, alkohol z chloroformem* (służy do zmoczenia tamponu).
8. *Pakiety przeciwiperytowe*
9. *Wapno chlorowane* (do wycierania nóg przed wejściem do mieszkania).
10. *Mieszanka z alkoholu, chloroformu, eteru i amoniaku* wchłanianie przynosi ulgę przy podrażnieniach błon śluzowych, nosa i gardła.

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Polki za granicą

W wielkiej kolonii górniczej Merlebach odbył się zjazd kobiet polskich z całego zagłębia węglowego Moselli. Na zjazd przybyło 250 żon górników polskich, należących do stowarzyszeń żeńskich polsko-katolickich. Zjazdowi, zwołanemu celem zamanifestowania uczuć wychodźtwa polskiego we Francji, przewodniczyła p. Szczerbowska. Po wysłuchaniu referatów uchwalono rezolucję, która zawiera dwa zasadnicze punkty: 1.) wychowywać dziatwę polską w duchu narodowym, 2) gdyby Ojczyzna polska znalazła się w niebezpieczeństwie złożyć wszystko na ołtarzu Ojczyzny.

Zebrane na zjeździe kobiety złożyły ofiary na F. O. N.

Fatalna sytuacja lotniczki

Panna Bernardyna King, śliczna 18-letnia lotniczka amerykańska, o mlecznej cerze i miedzianych włosach, o oczach, jak szmaragdy, latała sobie na wysokości tysiąca metrów. Skorzystała z tego, aby się rozebrać do naga i wziąć kąpiel słoneczną.

Nagle — motor stanął. Lotniczka powinna była skoczyć na dół ze spadochronem. Ale jakże tu skakać, kiedy się jest w tak grubym negliżu?

— Nie wiedziałam co robić — wyznaje miss King. — Jedną ręką manewrowałam przy motorze, drugą — ubierałam się, jak mogłam. W końcu — wylądowałam...

I opadła na łąkę, nie zdążywszy zakończyć tualety. Lądowanie jednak było dość gwałtowne. Piękna miss złamała paluszek i uszkodziła samolot. Świadkami wypadku byli tylko nieletni pastuszkowie.

Heroiczna gotowość do pracy sanitarnej

Miarą tego, z jakim entuzjazmem odnoszą się młode Amerykanki do propagowanej obecnie w Stanach Zjednoczonych służby sanitarnej kobiet, przygotowującej obronność kraju jest fakt, jaki zanotowano w mieście Halifax.

Otóż na ogłoszony tam kurs pielęgniarek przybyła Jean Wyatt zamieszkała w St. Anthony, miejscowości położonej w niezamieszkałej prawie części Nowej Funlandii. Aby zdążyć na czas i w ogóle dostać się do stacji kolejowej w Deer Lake, musiała p. Wyatt w towarzystwie koleżanki przebyć przestrzeń 500 klm na saneczkach z psim zaprzęgiem. Podróż ta, odbywana wśród pustyni śniegowej, przy ostrym mrozie, dochodzącym do 31 stopni trwała 17 dni — a dzielne dziewczęta nocowały w opuszczonych przez włóczęgów szopach, lub jamach lodowych, wyrąbanych na szlaku, walcząc z zawieją, mrozem i niewygodami przeprawy przez kraj zupełnie dziki.

Gdy wreszcie Jean Wyatt dotarła do miasta Halifax, przyjęto ją tam z podziwem i szacunkiem, a kierownictwo kursu szczyci się heroiczną gotowością do służby sanitarnej swych młodych kandydatek.

Dyletantka

(NOWELA)

Fila należała do kategorii kobiet nigdy niezadowolonych z życia. Mało na tym — Fila żyła ustawicznie w świecie fikcji i nieprawdopodobnych złud. Niezależnie jednak od tego przykrego stanu psychicznego, zewnętrzny wygląd Fili był zawsze bardzo miły i pociągający, nawet pomimo bolesnego wyrazu oczu i męczeńskiego skrzywienia ust. To ostatnie nie czyniło bowiem u niej wrażenia nudy i przesytu, ale kazało domyślać się jakiegoś wielkiego cierpienia o sensie bardzo dodatnim.

Znalazł się nawet mężczyzna, który najpierw zainteresował się Filą, a później zapłonął do niej szczerym afektem. Cóż, kiedy dziewczyna nie uznawała wogóle mężczyzn, pędzących życie w tak prozaicznych warunkach, jak biuro urzędnicze. Tego zaś, że pan Władysław posiada piękne, dobre oczy i jeszcze lepsze serce — nie zauważyła wcale, lecz z fanatycznym wprost uczuciem wpatrywała się codziennie w fotografię pewnego gwiazdora filmowego — ideał swoich szaleńczych marzeń. Przy tym snuła najfantastyczniejsze plany i marzenia podłożem których była nadzieja, że kiedyś na pewno zjawi się po nią ubóstwiany i wyrwie ją z tego banalnego świata wzdychających głucho panów Władysławów, okropnych — zajętych jakimiś nowoczesnymi prądami życia koleżanek i wiecznie niezadowolonych, brudnych sług. Och, te służące! Przez pokój Fili przesunął się już ich legion i na pewno przesunie się i zniknie szybko drugi. Ale... to wszystko kiedyś się skończy!

Fila poprawiła się wdzięcznie na różowej, brokatowej otomance i popłynęła uśmiechniętymi myślami w swój własny, piękniejszy świat.

W tej chwili ktoś silnie targnął za dzwonek u drzwi wejściowych, a trochę później weszła młoda, ładna służąca z arkuszem papieru w ręce.

— Chłopak przyniósł kurendę, proszę panienki! — powiedziała nieśmiało.

— Dlaczego Marysia nie pilnuje dzwonka? Mówiłam tyle razy, że mam chore nerwy! — zaskrzeczała nieprzyjemnie Fila i wyciągnęła rękę po papier. Była to kurenda w związku z organizowaniem akcji dożywiania biednej dziatwy szkolnej. Fila napisała pod swoim nazwiskiem „nie przyjdę" i bystro zlustrowała wygląd Marysi.

— Dlaczego nie wyczyścisz sobie paznokci, dlaczego masz taki brudny fartuch? — zaskrzeczała znowu.

— Gdy panienka będzie nosiła węgiel z ciemnej piwnicy i szorowała od świtu do nocy, to też tak będzie wyglądała! — wyrzuciła z siebie ostro dziewczyna.

— Tylko bez tego tonu! — zgromiła ją Fila.

— E, co tam będę dłużej ukrywała — dość już mam wszystkiego! — krzyczała już teraz dziewczyna — Wolę głodować, aniżeli jeść

taki gorzki chleb, jaki mam u państwa. Wciąż źle, wciąż niedobrze! Choćby człowiek ręce sobie urobił — nie dogodzi! Byłam w tylu miejscach i wszędzie było dobrze, tylko tu wciąż źle! Niech panienka zostanie z Bogiem! Za chwilę mnie tu już nie będzie!

Dziewczyna trzasnęła drzwiami i zniknęła. Scena ta nie zrobiła na Fili najmniejszego wrażenia. Widocznie była przyzwyczajona do podobnych. Podniosła się tylko lekko na otomanie i ziewnęła głośno.

— Co za nudy!

A po tym podeszła do artystycznie rzeźbionego, z białą, marmurową płytą, stolika i wzięła stamtąd przybory do manikury.

— Ach, jakie to moje obecne życie jest nudne! — westchnęła znowu, a za chwilę, nakładając różowy lakier na wypielęgnowane paznokcie, uśmiechnęła się już słodko:

— Ale to wszystko się skończy!...

Jednakże nie skończyło się, lecz przeciwnie — nieubłagany los w jednym momencie przekreślił najfantastyczniejsze marzenia Fili i postawił ją przed grozą realizmu życia.

Fili umarł ojciec. Matkę straciła już kilka lat temu, więc teraz spłakana i bezradna, jak zbłąkany ptak, czekała na jakiekolwiek polepszenie doli. I doczekała się! Któregoś dnia otrzymała list od swej kuzynki, a w kilka dni później kuzynka ta zjawiła się osobiście.

— Przyjechałam się tobą zająć, Filu! — oświadczyła młoda, wysportowana panna na wstępie. — Słyszałam dużo o tobie! Podobno jesteś wielką marzycielką i bardzo nieżyciowym człowiekiem? Nauczę cię więc pracować i pomagać sobie samej w wszelkich sytuacjach.

Niestety, dobre chęci Joanny spełzły na niczem. Fila dostała poprostu histerii, gdy dowiedziała się, że ojciec pozostawił po sobie dużo długów i dlatego trzeba będzie zlikwidować dotychczasowe mieszkanie i rozstać się z takimi rzeczami, jak brokatowe otomanki, marmurowe stoliki i kryształowe lustra.

— Zajmij się jakąś pracą, Filu, weź posadę, a za rok, dwa kupisz sobie sama te rzeczy! — przekonywała Joanna, podczas gdy Fila rzewnie płacząc, zapewniała ją, że umrze.

Joanna była mądrą i inteligentną dziewczyną, więc po tej scenie wyrzekła się swoich zamiarów nawracania kuzynki z niewłaściwej drogi.

— Niech ją uczy i nawraca życie, no i trochę mój przykład — pomyślała i sumiennie zajęła się wszelkimi sprawami osieroconej dziewczyny.

Fila zaś, leżąc po całych dniach, już teraz na zwykłej, gobelinowej otomanie, przyglądała się wszystkim ruchom kuzynki.

— Powiedz mi — zagadnęła ją kiedyś — skąd bierze się u ciebie to wielkie zadowolenie?

— Och, to takie proste — wyrobiłam je w sobie samej. Widzisz, Filu, mnie cieszy nawet taki fakt, że potrafię doskonale zastąpić służącą. Jak widzisz, umiem ślicznie uszorować podłogę i ugotować obiad, a wieczorem przygotowywać się do egzaminu prawniczego. Tak, tak, moja droga, dzisiejsza kobieta musi umieć wszystko i tylko takiej może być dobrze w życiu.

Joanna z radosnym uśmiechem rozkładała zniszczone pończochy, na stole i przybory do cerowania. Pod wpływem tego uśmiechu Fila ożywiła się nieco.

— Wiesz, Joasiu, pójdę chyba na spacer — rzuciła.

— Idź, powietrze dzisiaj jest bardzo pięknie czuć już w nim wiosnę! — zachęciła Joanna.

— I kiedy ty masz czas na przechadzki? — zdziwiła się Fila.

— A mam! Bo przechadzkami moimi, to droga na targ, po bawełnę do sklepu lub droga do kościoła. Jestem zawsze praktyczna i bardzo ekonomiczna! — zaśmiała się.

Fila już wychodziła. Gdy zamknęły się za nią drzwi Joannę napadły ciche refleksje.

— Jak to dobrze, że mogę zająć się tym niebożęciem — myślała. — Cóż, zmarniałoby same! To istota miękka i delikatna, jak wosk. Nikt nie pokierował nią umiejętnie i mądrze, żyła więc zawsze, jak dziczka w pustym polu i teraz ciężko jej będzie wrosnąć w nową, obcą glebę. Ale... może nie zginie!...

Z tych i tym podobnych rozważeń zbudził ją dopiero powrót Fili. Oczy dziewczyny mocno błyszczały.

— Wiesz, widziałam na wystawie kapelusz, powiadam ci ósmy cud świata. Główka z drobnych, aksamitnych fiołków, a rondo z jedwabnej, delikatnej słomki. Chciałabym go kupić, bo mój wiosenny już niemodny!

Joanna bezradnie rozłożyła ręce i szepnęła głucho:

— Nie ma pieniędzy!

Fila słowa te słyszała teraz stale, toteż uniosła się gniewem:

— Ależ, muszą być! Chyba ze sprzedaży domu i mebli coś pozostało?

— Owszem, ale wystarczy zaledwie na skromne utrzymanie! — odparła spokojnie Joanna.

— I co ja zrobię?! — chwyciła się za głowę Fila.

— Zarabiaj — powiedziała Joanna.

Fila dostała ataku szału. Nigdy, nigdy! Raczej umrzeć! Nie do pracy jest przecież stworzona! Jednakże już w chwilę po ataku spytała:

— I powiedz mi, ty mądra osobo, w jaki sposób mogłabym zarobkować?

— Och, w bardzo łatwy — przecież ślicznie rysujesz i doskonale znasz francuski język. Zgłoś się zatem do jakiejś redakcji lub wydawnictwa z próbkami swej pracy, a niewątpliwie coś zyskasz.

— Nie mam sił, Joasiu, nie mogę! To mi nie odpowiada! — rozpłakała się bezradnie.

— To zwróć się listownie!

— Nie chcę, nie chcę, za nic w świecie! — szlochała głośno i ukryła rozpaczliwie głowę w rozrzucone na otomanie poduszki.

Po paru dniach zdecydowała się jednak napisać, w dużej mierze sprowokowane tym, że panie zaczęły już pokazywać się na ulicach w pięknych, wiosennych okryciach, podczas gdy oną musiała chodzić dalej w swoim fiołkowym, wytartym futerku.

Odpowiedź wydawcy była bardzo przychylna. Rysunki i tłumaczenia Fili uznał za bardzo dobre i zaangażował ją do współpracy na odległość. Honorarium za pracę wyznaczył królewskie. To pierwsze powodzenie trochę oszołomiło Filę. Zabrała się jednak zaraz do pracy i aż się zdumiała, jaka ona była wdzięczna i miła.

Wkrótce Fila kupiła sobie za własne pieniądze fiołkowy kapelusz i eleganckie, wiosenne okrycie. Równocześnie spostrzegła, że zaczyna ją pierwszy raz w życiu coś pasjonować, mianowicie praca i ta wielka ochota kupowania wszystkiego za własne pieniądze! W ten sposób zbliżył się okres egzaminów Joanny i tym samym jej wyjazd.

— I cóż ja zrobię bez ciebie? Kto teraz będzie sprzątał i gotował? Ach, mój Boże! — załamała ręce Fila.

— Ha, musisz sobie dać radę! — uśmiechnęła się Joanna. — Zresztą pozostawiam ci dużo ścierezek, miotłę do zamiatania, książkę kucharską itd.

— Zginę teraz, zginę na pewno! — zalała się łzami, według zwyczaju, Fila.

Rozpacz ta okazała się jednak zbyt pesymistyczną, gdyż już na drugi dzień po wyjeździe Joanny, Fila znalazła się w kuchni. Głód zrobił swoje. Po tym trzeba było oczyścić z błota pantofelki, bo nie sposób wyjść w takich na ulicę, później pójść po chleb i bułki, bo niestety, w kuchni nie było żadnej Marysi, Frani czy choćby Joanny. Łzy Fili były teraz obfitsze i bardziej gorzkie, niż zwykle, ale po upływie trzech tygodni potok ich wysechł zupełnie. Powrót Joanny zaś zastał Filę w jak najlepszym humorze. Akurat smażyła kotlety w kuchni. W Joannie na ten widok zrodziła się jakaś spontaniczna radość, nie okazała jej jednak zbyt szczerze, aby nie zmrozić tej dziwnej natury.

— Przywiozłam z sobą dyplom, Filu, jestem teraz magistrem praw — powiedziała z swym rozbrajającym uśmiechem i pomogła szorować Fili jakiś mocno przypalony garnek.

— I wiesz, otrzymałam już posadę! — dodała.

— Winszuję serdecznie! — ożywiła się Fila.

— A nie boisz się zostać samą? — zagadnęła cicho Joanna.

— Jak widzisz, wchodzę w twoje ślady, Joanno i zaczynam nawet wyrabiać w sobie dziwne zadowolenie. Przed tym nigdy nie znałam tego uczucia.

— Bo żyłaś pustką, moja droga — wtrąciła prawniczka — bo nie wiedziałaś, co to jest szczęście pracy, szczęście zdobywania i tworzenia. Nie interesowało cię nic, prócz głupich mrzonek i kaprysów. Byłaś skończoną dyletantką życiową, człowiekiem bez inicjatywy i zerem wobec piętrzących się stale warunków twego bytu. Dziś życie nauczyło cię wiele i nauczy jeszcze reszty. Nie ma w tym wypadku lepszego nauczyciela nad życie. Słuchaj więc go i nie buntuj się więcej!

Fila miała jakąś zorzę na twarzy.

— Zapomniałam ci powiedzieć Joasiu!... Wyobraź sobie że spotkałam w rzeczywistości bohatera tej zachwycającej powieści francuskiej, którą przed paru dniami skończyłam tłumaczyć!

— No?...

— Imię mu Władysław i niedawno został dyrektorem pewnego biura. Ładne, dobre oczy, takie, jak monsieur Armand. Właściwie znałam go już od paru lat, ale nigdy nie interesowałam się nim żywiej. Teraz, co innego! Czuję nawet, że mogłabym wyjść za niego!

— Chętnie ci pobłogosławię, Filu! — zawołała radośnie Joanna. — Pana Władysława znam doskonale, pochodzimy bowiem z jednego miasta i mam o nim, jak również o jego całej rodzinie, jak najlepsze wyobrażenia. Winszuję ci, Filu, wyboru i wyjeżdżam stąd z całym spokojem i tą świadomością, że pomogłam ocalić potężnemu życiu, ginącą w świecie zwyky i mrzonek kobietę, w gruncie rzeczy zaś dzielnego i wartościowego człowieka.

Maria Zemmlerówna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Irena K. — Oksa. Dziękujemy za miłe słowa i spieszymy donieść, że numer dosłaliśmy. Fotografii swej p. Zofia i Wujek Janusz postanowili nie zamieszczać i trzeba respektować ich życzenia.

Łączymy serdeczne pozdrowienia.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA

ul. „En-Ka".

	na	bym	ki	warz	i	żv	
chciał	O	się	co	i sie	mie	bla	Two
szą	gwiazd	błę	jak	cię	ją	o	ca.
	dziś	wi	gnnąć	pro	skiem	nić	

Ruchem konika szach . ego odczytać wyjątek z wiersza, zamieszczo . . o w nr. 3 „Moich Powieści".

REBUSIKI

ul. „Eros".

czek ko, ta śle, li sa, , po nik, t kło,

Za rozwiazanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, dn. 16 czerwca br.

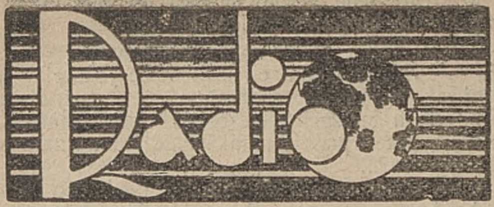
Rozwiązanie zadań z nr. 22 „Moich Pow."

I. Logogryf: Zielone Świątki.
II. Uzupełnianka:

N	I	e	m	e	n
C	z	a	r	n	y
P	o	z	n	a	ń
B	a	n	a	n	y
a	n	ż	l	a	H
N	e	p	t	u	n

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Głuszko Jan — Warszawa, Gadomski Ignacy — Łódź, Zieliński Józef — Toruń, Danecka Ela — Szczyrk, Hilarski Leon — Katowice. Deny Jan — Katowice, ul. Drzymały 4.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Gadomskiemu z Łodzi i Hilarskiemu z Katowic.



Niedziela, dnia 11 czerwca 1939 r.

7.00 Audycja poranna 8.30 Transmisja nabożeństwa z Klasztorów O.O. Paulinów na Jasnej Górze w Częstochowie 9.30 Muzyka poranna w wyk. Ork. Zw. Muzyków Chrześc. 10.15 „Z operetek i oper" — koncert rozrywkowy 11.35 Muzyka dzwonów z Katedry w Malines — transmisja z Brukseli 12.03 Poranek muzyczny z Katowic 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.45 „Czytamy Mickiewicza" — audycja II 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Koncert solistów ze Lwowa 17.15 „Przez kraj Wajów i Gola" — felieton K. Giżyckiego 17.30 „Podwieczorek przy mikrofonie" z Krakowa 19.00 „Teatr Wyobraźni: „Klub Pickwicka" — wiecz. III „Tracimy zaufanie T. Klopana Jingle" 19.30 Święto pieśni młodzieży szkół powszechnych Transmisja koncertu z Wawelu 21.15 Muzyka taneczna 21.40 W przerwie: „Orkiestra podwórzowa" — wesoła audycja z Krakowa.

Poniedziałek, dnia 12 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Audycja dla kupców 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 Teatr Wyobr. dla młodzieży: „Przygody doktora Mucholapskiego" 15.15 Muzyka popularna z Poznania 16.20 Recital organowy Józefa Pawlaka 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert kameralny z Poznania 19.00 Audycja Zw. Rezerwistów 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Recital śpiewaczy Helvi Valkomen Mettinen 21.25 Recital fortepianowy Zofii Kerntopf-Tomaszkowej 21.50 „Echa mocy i chwały" 22.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 13 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Polityk kawiarniany — dialog 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Nie trzeba daleko szukać" — pogadanka dla młodz. 15.00 Koncert Małej Orkiestry P. R. 16.10 Przywołany obraz Żelaznej Woli — reportaż 16.20 Recital fletowy F. Tomaszewskiego 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert solistów 18.45 Koncert z płyt 19.00 Audycja dla robotników 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert z Wilna 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Muzyka współczesna w wyk. kwartetu smyczkowego Rozgłośni Krakowskiej 21.25 Wiedza i książka: Tegoroczna nasza wyprawa do Egiptu 21.40 Wolfgang Amadeusz Mozart: Don Juan — opera (płyty).

Środa, dnia 14 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 Audycja dla dzieci: rozwiązanie zagadki z dn. 26 5. oraz „Nasz koncert": „Zabawa u karzełków" 15.15 Muzyka popularna ze Lwowa 16.20 Śpiewa Chór Mariański pod dyr. Ulassa z Łodzi 16.45 „Życie kwiatów": — uczta na kwiatach 17.00 Muzyka taneczna 18.00 „Echa mocy i chwały" 18.10 Koncert popularny z Łodzi 19.00 Teatr Wyobraźni: „Klub Pickwicka" — wiecz. 4-ty „Porwanie ciotki Racheli" 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert z Poznania 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Koncert chopinowski z dziedzińca Zamku Królewskiego na Wawelu 21.45 „Współczesny Kraków literacki" — szkic 22.00 Koncert chopinowski z dziedzińca Zamku Królewskiego na Wawelu (cz. II) — transmisja do Anglii 22.30 Francuskie marsze i piosenki" — koncert z płyt.

Czwartek, dnia 15 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 „W takt muzyki" — poranek dla szkół powszechnych 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „W ulu" — reportaż przyrodniczy dla młodzieży 15.05 Koncert popularny z Wilna 16.20 Charakterystyka struktury społeczno-gospodarczej Polski — odczyt dla młodzieży licealnej 16.40 Muzyka z płyt 16.45 Bogactwo form budownictwa wsi — odczyt 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Pieśni islandzkie — aud. muzyczno-słowna 18.30 Karol Maria Weber: Kwintet klarnetowy B-Dur — koncert 19.00 „Henryk Sienkiewicz: „Listy z Afryki" — odczyt 19.20 Muzyka lekka 19.40 Transmisja z Rapperswilu 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Józef Haydn: Trio G-Dur — koncert z płyt 21.20 Trubadurzy szwedzcy — rapsodia na tematy ludowe szwedzkie — transmisja ze Sztokholmu 22.00 Teatr Wyobraźni: „Latarnia zgasła" — poemat ludowy 22.25 Recital śpiewaczy Idy Loo (Estonia) 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 16 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 8.15 Kłopoty i rady: „Pomieszczenie uszczelnione" 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Audycja dla poborowych 12.03 Audycja południowa 14.45 „Kajakiem po naszych rzekach i jeziorach" — opowiadanie dla młodzieży 15.00 Muzyka popularna z Poznania 16.20 Utwory fortepianowe na 4 ręce 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert w wyk. Ork. Kameralnej „Collegium Musicum" przy Miejskim Konserwatorium w Bydgoszczy 19.00 „Książki do których się wraca": „Nad Niemnem" 19.30 „Przy wieczerzy" — koncert 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Pieśni kompozytorów szwedzkich w wyk. Janiny Hupertowej (z okazji święta narodowego Szwecji) 21.25 Medytacje z „Wyznań" św. Augustyna 21.45 „Don Juan" Mozarta — II akt opery z płyt.

Sobota, dnia 17 czerwca 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: 12.03 Audycja południowa 14.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Dzień urodzin infantki" według Oskara Wilde'a 15.15 Koncert popularny z Wilna 16.20 Recital skrzypcowy Józefa Salacza 16.45 „Życie kwiatów: Mile widziani goście" — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 19.00 „Charaktery: „Wincenty, człowiek niebezpieczny" — powieść mówiona H. Boguszewskiej i J. Kornackiego 19.30 Audycja dla Polaków za granicą 20.00 „Polesie śpiewa" — melodie ziemi poleskiej 20.25 Audycja dla wsi 21.00 Transmisja z dziedzińca Zamku Królewskiego na Wawelu — I-szy koncert symfoniczny w wyk. Ork. P. R. z udziałem E. Bandrowskiej-Turskiej 22.05 Kraków był metropolią muzyki polskiej — felieton muzyczny 22.25 Cz II koncertu z dziedzińca Zamku Królewskiego na Wawelu — transmisja do Ameryki 23.30 Muzyka taneczna.



POST-SCRIPTUM

Jeden z naszych najwybitniejszych pisarzy ma starego lokaja Jana.

Pewnego dnia wierny sługa zwrócił się do swego chlebodawcy:

— Mam do pana wielką prośbę... Może by mi pan zechciał napisać list do mojego brata stryjecznego? Ja nie umiem pisać...

— Ależ bardzo chętnie.

Po kwadransie list był gotów.

— A teraz jeszcze tylko post-scriptum... Bo to, proszę pana, list bez post-scriptum to żaden list...

— A no dobrze — uśmiechnął się pisarz — a cóż mam Janowi napisać w tym post-scriptum?

Lokaj zastanowił się, po czym odparł:

— Niech pan napisze po prostu: „Przepraszam cię za błędy w liście".

ZNA GOŚCIA

Kelner w kuchni:

— Dwie kiełbasy dla pana radcy.

— Jedna wystarczy! On jest taki pijany, że mu teraz wszystko dwoi się w oczach.

U OKULISTY

— Panie doktorze, psuje mi się wzrok.

— A czym się pan zajmuje?

— Jestem jasnowidzem.

NIE KOPERNIK

Tęga dama z dalekiej prowincji zwiedza Warszawę, jeżdżąc po mieście tramwajem. Jest zlekka podniecona i zanudza sąsiadów rozmową.

Właśnie wóz zatrzymał się na Krakowskim Przedmieściu. Dama trąca konduktora parasolką i pyta:

— Panie, czy to Kopernik?

— Nie — odpowiada z zimną krwią tramwajarz, — to moje ramię.

ROZKAZ

Car Paweł I wpadł w pasję podczas parady wojskowej na widok niezręcznego zachowania się jednego z oficerów.

— Odesłać tego osła z powrotem na jego folwark!

— To biedak, nie posiada nawet morga ziemi! — odpowiedział pułkownik.

— Dać mu w takim razie folwark! — zawołał car. — Nie odwołuję rozkazów.

INDIANIN

Szkot Mac Sagan bawiąc przejazdem w New Jorku, pragnie nadać telegram do przyjaciół na prowincji. Wchodzi więc do urzędu telegranicznego i pyta urzędnika:

— Ile kosztuje telegram do Bostonu?

— Pięć centów słowo, podpis bezpłatnie.

— Podpis bezpłatnie? To mi odpowiada. Nadam więc tylko podpis.

— Zrobię to dla pana — mówi urzędnik. A jakie nazwisko mam podać?

— Mc Lagan uśmiecha się na to i mówi:

— Pewnie mi pan nie uwierzy, ale jestem Indianinem i nazywam się Przyjadę o świcie.

CHCIAŁA SIĘ PRZEKONAĆ

Frania: — Jak śmiesz? Dlaczego wkładasz mój kapelusz?

Helcia: — Przepraszam bardzo.

Ja chciałam tylko zobaczyć, jak ten kapelusz będzie wyglądał przy ładnej twarzyczce.

MISTRZ

— Panie mistrzu, proszę przy tej sztuce mięsa kości nieco rozdrobnić.

— Proszę bardzo: Fredziu, proszę tej p. wszystkie kości potrzaskać.

TEN JUŻ WIE

Mąż: — przyniosłem bilety do teatru.

Żona: — Pięknie. Zacznę się zaraz ubierać.

Mąż: — Słusznie. Przedstawienie będzie dopiero jutro.

W SZKOLE

Nauczyciel: — Co zrobi osioł, mając do wyboru wiadro z winem i wiadro z wodą?

Uczeń: — Wybierze wodę.

Nauczyciel: — Słusznie, a czemu?

Uczeń: — Bo jest osłem.

U DOKTORA

— Pan ma puls bardzo nieregularny... Czy pan pije?

— Tak, ale bardzo regularnie!

NIE

— Jak ktoś nie potrafi czegoś dobrze wytłumaczyć, jest skończonym idiotą! Zrozumiałeś?

— Nie!

PRZEDPŁATA: już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczenia całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedzialny: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.